WACŁAW SZYMANOWSKI

POEZYE I DRAMATA

TOM III

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

1884.

POEZYE I DRAMATA.

WACŁAW SZYMANOWSKI.

POEZYE I DRAMATA.

TOM III.

WARSZAWA.
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1884.

Дозволено Цензурою.

Варшава 22 Ноября 1883 года.

Druk J. Bergera, Warszawa, Elektoralna Nr. 14.

DZIEJE SERCA.

KOMEDYA W TRZECH AKTACH,

odznaczona pierwszą nagrodą

na konkursie warszawskim 1860 r.

OSOBY:

PREZES, lat 54.
PREZESOWA, lat 32.
JULIA, córka prezesa z pierwszego małżeństwa, lat 22.
GELD, bankier, lat 45.
KAROL, adwokat, lat 28.
ADAM, lat 20.
HRABIA ALFONS.
Gracz pierwszy.
Gracz drugi.
Gracz trzeci.
KOMISSANT handlowy.
FRANCISZEK, lokaj prezesa.

Rzecz dzieje się w Warszawie.

AKT I.

(Mieszkanie prezesa. Drzwi w głębi. Drzwi z prawéj i lewéj strony. Stół na przodzie sceny. Dwa fotele. Kozetka.)

SCENA I.

Prezes siedzi przy stoliku. **Komissant handlowy** stoi u drzwi.

Prezes (trzymając papier w ręku).

Na teraz już mi proszę nie zawracać głowy,
Będę tam i zapłacę.

(Komissant kłania się i wychodzi.)

SCENA II.

Prezes (sam).

Otóż kłopot nowy...
A jak na złość dziś trzeba zaspokoić hrabię,
Bo mnie wczoraj w resursie znów nieźle uskubli,
A tu nie ma...

(Gniotąc papier w ręku:)

Przeklęte te wydatki babie!...

(Z westchnieniem:)

Zobaczmy.

(Rozwija rachunek i czyta.)

Tfu do dyabła! tysiąc pięćset rubli!

(Rzuca rachunek na stolik.)

Już na prawdę waryacyi dostaje Emilka.

(Załamując rozpaczliwie ręce:)

Dziesięć tysięcy złotych za gałganów kilka!

(Podnosi machinalnie rachunek i czyta:)

Mechaniczna paryzka sznurówka ze stali,
Sto dwadzieścia trzy złote... na licho te sklepy
Z modami!... Dwa stroiki!... Suknia z chińskiéj krepy!...
Cztery nowe turniury...

(Ciskając rachunek ze złością na ziemię:)

Niech je piorun spali!

(Po chwilce namysłu:)

Na honor, z takim ładem można wyjść na dziady,
A tu już ja sam nie wiem jak sobie dam rady.

(Dzwoni wołając:)

Franciszek!

(Wchodzi lokaj.)

Spytaj pani, czy mnie przyjąć może?
Chcę z nią pomówić.

(Lokaj wychodzi.)

Koniec raz temu położę.

Franciszek (wracając).

Pani sama tu idzie.

(Wychodzi.)

Prezes.

Sprawię się obcesem,
Niechaj wie, że nie jestem Fuldem ni Miresem;
Ona myśli, że ja mam Kalifornię całą
W kieszeni...

SCENA III.

Prezes, Prezesowa.

Prezesowa
(wszedłszy, całuje męża w czoło, a on ją w rękę).

Bon jour! mężu; jakże ci się spało?

Prezes.

Nieźle.

Prezesowa (siadając).

Jakże też wczoraj służyła ci szansa?

Prezes.

Przegrałem.

Prezesowa (obojętnie).

Znów przegrałeś!... i w co? w preferansa?

Prezes.

W pałki.

Prezesowa.

Jakież wy nazwy tym kartom, mój drogi,
Dajecie... W pałki!... (śmiejąc się:) *charmant!* czemuż nie [w batogi?

Prezes (z lekką urazą).

To cię bawi?

Prezesowa.

No... przyznasz, to zabawne przecię,
Że co wieczór w resursie w pałki się bijecie,
Jak w karczmie.

(Znów się śmieje.)

Wam się widać przebrało z robotą.

(Zmieniając ton mowy:)

Ale ja tu, mój drogi, przychodzę nie po to.

Prezes.

I po cóż?

Prezesowa.

Jabym z tobą rozmówić się rada.

Prezes.

To zupełnie tak jak ja.

Prezesowa.

Wybornie się składa.
Więc z kolei tu każde swoje mocye poda,
Ja zacznę, a ty skończysz. No, czy zgoda?

Prezes.

Zgoda.

Prezesowa.

Co do mnie, zaraz jedném załatwię się słowem:
Chcę pieniędzy.

Prezes.

Żądanie twoje nie jest nowém
Wcale dla mnie, i przyznasz mi to sama, sądzę,
Bo dość często przychodzisz do mnie po pieniądze.
(Z naciskiem:)
Coraz częściéj.

Prezesowa.

Bo ciągle potrzeba mi więcéj.

Prezes.

A wszakże bierzesz na dom czterdzieści tysięcy,
I przytém sama przyznasz, że to miesiąc rzadki,
Bym nie musiał coś dodać na inne wydatki,
Nie licząc, że na mieście robisz jeszcze długi.

Prezesowa.

Toż muszę dom utrzymać, pozapłacać sługi;
Wszakże wiesz, że tu wszystko odemnie się bierze:
Kucharz, lokaje, młodsze, obiady, wieczerze,
Wszystko ja... a to przecię niemałym kłopotem...
Ja pieniędzy nie rodzę, wszak wiesz dobrze o tém.

Prezes.

Ba... żeby też jak dzieci rodziły się one,
Toby miał zysk z nas każdy, biorąc sobie żonę.

Prezesowa (z ironią).

O, wy biedne ofiary małżeńskiego stadła!

Prezes (z westchnieniem).

Jużci trudno się cofać, gdy klamka zapadła;
Trzeba wytrwać jak można w smutnéj męża roli.
(Po chwili przestanku:)
Więc chcesz pieniędzy?

Prezesowa.

Tak jest.

Prezes.

Bardzo mię to boli,
Że ci muszę odmówić.

Prezesowa.

Jakto?

Prezes.

Nieinaczéj.
Wszak ten wyraz „odmawiam” jasno rzecz tłómaczy.

Prezesowa.

I dla czego?

Prezes.

Bo nie mam.

Prezesowa.

Lecz to być nie może!...

Prezes.

Ty pieniędzy nie rodzisz, ja ich też nie stworzę.

Prezesowa.

Przepraszam cię, to fakt już dawno dowiedziony,
Że dawać rolą męża, zaś brać rolą żony.
I to także dla ciebie nie jest pewnie nowém,
Że mąż jest słowem czynném, żona bierném słowem.

Prezes.

Wybacz, ale mam o tém przekonanie inne,
Wy jak wam jest dogodniéj i bierne i czynne.

Prezesowa.

Przypuszczam.

Prezes (rozkładając ręce).

A więc...

Prezesowa.

Pozwól!... jeszcze jedno słówko:
Kiedy kto wziął posagu parękroć gotówką,
To może...

Prezes.

Ot masz tobie... już zaraz na przedzie,
Jak straż przednia, ten posag na plac boju jedzie.
Przyznaj się, ile razy już słyszałem o nim?

Prezesowa.

Kiedy nastają na nas, trudno... my się bronim.

Prezes.

Ten posag—tak potrzebny dla obrony twojéj,
Ten posag, co mi ciągle kością w gardle stoi,
Musiałby chyba najmniéj sto od sta przynosić.
Żeby twym wymaganiom uczynić zadosyć;
Bo policz jakie co rok ciężary są moje:
Hafty, koronki, bale, stroiki i stroje;
Niedawno za granicę już podróż dziesiątą
Odbyłaś, i znów jedziesz, a wszystko *à conto*
Posagu.

Prezesowa.

Już wiem dobrze, że na każdym kroku
Wszystko co my robimy jest wam solą w oku;
Lada wydatek wzbudza zarzuty jątrzące.
Wam wolno dla kaprysu wyrzucać tysiące,
A z rozpaczą się zaraz łapiecie za głowę,
Gdy na potrzeby od was żądamy domowe.

Prezes

(podnosząc z ziemi rachunek i podając go prezesowéj).

Masz słuszność, tylko szkoda, że ci trochę przeczy
Ten mały rachuneczek.

Prezesowa

(przebiegłszy szybko rachunek oczami).

Cóż za straszne rzeczy?

To ten papier *le fin mot de l'affaire* stanowi,
I tak w głowę zajechał panu prezesowi,
Że za nim sto wyrzutów wylata jak procą?

(Wzruszając ramionami:)

Nędzne kilkaset rubli!... jest się gniewać o co?
Toż nie mogę z bojaźni, że mnie zarzut spotka,
Chodzić jak Malabarka albo Hottentotka.

Prezes.

Gdybyś pani umiała z swym własnym pożytkiem
Znaleźć granice między potrzebą a zbytkiem,
Granice, co rozsądku prawa przepisały,
Byłyby niepotrzebne te moje morały.
Wam kobietom się zdaje, że pieniądze po to
Tylko są utworzone, by je rzucać w błoto.
Prawda, żeście do zbytku przywykłe od dziecka,
Dla was rachować, czynność wyłącznie kupiecka;
Mąż, co was mityguje, jest przebrzydłym sknerą,
Nie umiecie policzyć, że dwa bez dwóch zero,
I że rzecz ta przybiera rozmiary grożące,
Gdy kto sta posiadając, wydaje tysiące.
Dla tego raz na seryo, Emilko kochana,
Chcę się z tobą rozmówić.

(Wchodzi Franciszek, przynosząc list na srebrnéj tacy.)

Franciszek.

List do Jaśnie Pana.

Prezes.

Daj tu.

(Franciszek podaje list i wychodzi.)

Prezes (do żony).

Pozwolisz chwilę.

(Prezesowa robi skinienie głową, prezes odpieczętowywa list i czyta; po chwili mówi, uderzając ręką w stół:)

To skaranie Boże!

Prezesowa.

Cóż takiego?

Prezes.

Czyż czekać u licha nie może?

Prezesowa.

Kto?

Prezes (niecierpliwie).

Hrabia Alfons pisze, że nie ma pieniędzy,
I prosi, bym mu dług mój odesłał czémprędzéj.

Prezesowa.

Jaki dług?

Prezes (zamyślony).

Jak tu oddać? a to nie są żarty,
Dług honorowy....

Prezesowa.

Zkądże?

Prezes (coraz niecierpliwiéj).

Ztąd, że wygrał w karty.

Prezesowa.

Ile?

Prezes (sam do siebie).

A ma pieniądze... kłamie... mógłbym przysiądz.

Prezesowa.

Ile?

Prezes (robiąc lekceważący gest ręką).

E.... tysiąc rubli.

Prezesowa.

Bagatelka!.. tysiąc!

(Uśmiechając się ironicznie:)

Jesteście wszyscy w mowie wielcy moraliści,
Ale się w życiu u was ten morał nie iści.
No... proszę ciebie, daléj twą rozprawę prowadź.
Jak to tam było? aha! nie umiem rachować,
Ale i tysiąc rubli summa nie dla kształtu,
Ile tam złotych!... piątek!... trzygroszówek!... gwałtu!...
No... pomóż niech zrachuję....

Prezes (na wpół gniewny).

E!... daj pokój sobie.

Prezesowa.

Mówże przecię, ja słucham.

Prezes (do siebie).

Sam nie wiem co zrobię.
Zkąd wziąć?

Prezesowa.

Widzę, żeś jakoś zafrasowan wielce,
A czy znasz przypowiastkę o źdźble i o bełce?
Każdy ma wady swoje i śmieszności swoje:
Ty wydajesz na karty, ja znowu na stroje;
Widocznie jeden zarzut drugim się odeprze...
A z dwojga złego nie wiem doprawdy co lepsze.

Prezes.

Posłuchaj!... chcę przemówić do twego rozsądku:
Czy wiesz ile obecnie posiadam majątku?

Prezesowa.

I cóż?

Prezes.

Całą treść jego dziś stanowią głównie
Ustąpione przez Gelda akcye na cukrownię.

Prezesowa.

A reszta?

Prezes.

Życie tutaj drogo kosztowało,
A przytém zagranica wydarła niemało.

Prezesowa.

A mój posag?

Prezes.

Twój posag, z Julci kapitałem,
Od ogólnéj zagłady pilnie zachowałem.
Twoja summa tak jak jéj była dla mnie święta....

(Po krótkim przestanku:)

Chociaż na dom i życie obracam procenta.

Prezesowa.

A więc czegoż się skarżysz?

Prezes.

Rozmaite względy
Nie dają mi nadziei żadnéj dywidendy
W tym roku z moich akcyj, a procenta owe
Zaledwie na wydatki starczą przez połowę.

Prezesowa.

Więc cóż chcesz?.. wstaw, nadłataj, wtém już twoja głowa.

Prezes (opuszczając ręce).

Zkądże wezmę?

Prezesowa.

To oszczędż.

Prezes.

O tém właśnie mowa.

(Przysuwając ku niéj fotel:)

Chciałem, porozumiawszy się z tobą w tym względzie,
Systemat oszczędności zaprowadzić wszędzie.

Prezesowa.

Zgadzam się najzupełniéj.

Prezes.

To bardzo przykładnie,
Więc najprzód zmień modniarkę, co cię strasznie kradnie.

Prezesowa.

Nie mogę; bo choć niby większe liczy zyski,
Ona jedna w Warszawie zna co krój paryzki.

Prezes.

To przynajmniéj w tym roku dajże pokój sobie
Z podróżą za granicę.

Prezesowa.

I tego nie zrobię.
Wiesz, że mi doktor wody przykazał na nerwy,

W trakcie wodnéj kuracyi najgorsze są przerwy,
A i Julcia mizerna, i jéj się kurować
Trzeba.

Prezes (wzruszając ramionami).

Przynajmniéj w domu oszczędność zaprowadź;
Bo przyznasz, że tu zbytki na prawdę gorszące.
Po co naprzykład trzymasz dwie panny służące?

Prezesowa.

Dla nas dwóch.... jedna szyje, a druga ubiera.
To ty najniepotrzebniéj masz kamerdynera;
Nie dość lokaja? po co ten darmozjad drugi?

Prezes.

Trudno też, żebym został bez żadnéj usługi.

Prezesowa.

Może być; ale za to dla czego koniecznie
Codzień bywać w resursie, gdzie przegrywasz wiecznie?

Prezes.

Gdzież pójdę?

Prezesowa.

Czyż dla ciebie znaleźć się nie mogą
Inne zajęcia? Zresztą nie grywaj tak drogo.

Prezes.

Widzisz, trudno naruszać towarzyskie formy;

Muszę się do ogólnéj zastosować normy,
Choć doprawdy nie jestem zapalonym graczem.

Prezesowa.

Więc na czém oszczędzimy?

Prezes (rozkładając ręce).

A już nie wiem na czém.

Prezesowa.

Trzeba szukać.

Prezes.

Toć już się naszukałem dosyć.

Franciszek (podchodząc).

Pan bankier Geld.

Prezes (z radością do żony).

A!... ten nam spada z nieba.
(Do Franciszka:)
Prosić.

(Franciszek wychodzi.)

SCENA IV.

Ciż sami, Bankier Geld.

Geld (wchodząc).

Przepraszam, że prezesa nachodzę tak rano.

(Spostrzegając Prezesową:)

A!... pani prezesowa.

(Kłania się Prezesowéj, która oddaje mu ukłon.)

Wczoraj obmawiano
Panią u księcia Jana, mego przyjaciela,
Że pani coraz rzadziéj światu się udziela;
Już doprawdy sam pani nie widziałem wieki.

Prezesowa (manierowanie).

Aż z dwóch bractw udzielono mi teraz opieki,
I choć to mnie obarcza pracą nazbyt wielką,
Muszę pełnić mój urząd ze ścisłością wszelką:
Powinność przedewszystkiém.

Geld.

Ależ można przecie.
Bacząc na dobro biednych bywać także w świecie.
Po cóż taką pokutą obarczać się srogą.

Prezesowa.

Salony mogą czekać, a biedni nie mogą:
Taka moja zasada.

(Spoglądając na zegarek.)

To mi przypomina,
Że właśnie mych rewirów nadchodzi godzina:
Muszę odejść.

Geld.

Jakto? już?

Prezesowa.

Wybaczcie panowie,
Zwłaszcza że może jakiéj poufnéj rozmowie
Przeszkodziłabym.

Geld (uprzedzająco).

Zkądże?...

Prezesowa.

Lecz ja odejść muszę
Koniecznie... żegnam panów.

(Kłania się i wychodzi.)

SCENA V.

Geld, Prezes.

Geld

(oddawszy uniżony ukłon Prezesowéj, siada, wyciągając się na fotelu).

A! na moją duszę,
Prezesie, odłożywszy pochlebstwa na stronę,
Muszę ci przyznać, że masz perłę, a nie żonę.

Prezes (tłumiąc ziewanie).

Zapewne.

Geld.

Tak obyta między wielkim światem,
Prym trzyma po salonach, już ja znam się na tém.

Przyznasz, prawdziwa dama, z taktem znamienitym,
Rozumna jakby jaki Salomon, a przytém
Dobroczynna jak Tytus, nigdy dnia nie straci,
Kapitalna kobieta, niech mnie porwą kaci.

Prezes (uśmiechając się).

Wiesz co, mój drogi, tak ją chwalisz zapalenie,
Że mógłbym być zazdrosnym.

Geld.

Ja ją tylko cenię
Szczerze podług zasługi, bo w niéj same cnoty;
Patrząc na nią, aż człowiek nabiera ochoty
Żenić się.

Prezes.

Nie wiedziałem, żeś tak romansowy;
Czy doprawdy myśl taka przyszła ci do głowy?

Geld.

Czemuż nie? dość już długo w kawalerskim stanie
Przebyłem, wiek po temu, przytém utrzymanie
Niezłe.

Prezes (uśmiechając się).

Temu nie przeczę.

Geld.

Raz więc koniec zrobię,
I ja téż dobrą żonkę wysztyftuję sobie.

Prezes.

To się żeń.

Geld (sentencyonalnie).

Wszak to grecki powiedział uczony,
Że źle czasem jest z żoną, lecz gorzéj bez żony,
I to prawda; dla tego, kochany prezesie,
W tym cię właśnie nachodzę dzisiaj interesie.

Prezes (ze zdziwieniem).

Mnie?

Geld.

Tak jest; bo zasada zawsze taka u mnie,
Że ten, co działa prędko, to działa rozumnie,
I ty na tę zasadę zgodzisz się, jak sądzę.
Anglicy zawsze mówią, że czas to pieniądze,
Że w zwłoce bywa zwykle pewnéj zguby zaród,
A to rozumny naród, najbogatszy naród.

Prezes.

Więc słucham.

Geld.

Jak mówiłem, krótka sprawa ze mną:
Ty masz córkę dorosłą, piękną i przyjemną,
Czas już ją wydać za mąż, a źle wydać szkoda,
A więc ja ci się o nią oświadczam... czy zgoda?

Prezes.

Zmiłuj się! niech wiem chociaż czy ci jest przychylną?
Tobie pilno, ale jéj może nie tak pilno;
Pozwól niech chociaż nad tém sam pomyślę sobie.

Geld.

Zaraz, jeszcze ci jeden rachuneczek zrobię.
Wiadomo to każdemu, że byłeś bogaty,
Miałeś jeszcze milionik przed sześcioma laty,
Lecz teraz ten milionik przeszedł przez rzeszoto.
(Robi znak palcami.)

Prezes (zdziwiony).

Zkądże?

Geld.

Wiem najdokładniéj, zkąd? nie pytaj o to,
Bobyś się moich źródeł nigdy nie dopytał.
My musim majątkowy znać dobrze kapitał
Każdego, co w stosunkach jakich bywa z nami,
Inaczéj moglibyśmy załapać się sami:
Rozumiesz?

Prezes (spuszczając głowę).

A, rozumiem.

Geld.

Więc stan rzeczy cały
Taki: majątku nie ma, a długi zostały.

Masz ich dotąd, jak sobie rachuję mniéj więcéj,
Rubli srebrnych około czterdziestu tysięcy.
Dla tych, którym dochodów liczne źródła służą,
To jeszcze nic; lecz w zamian jest to bardzo dużo
Dla tego, który nie ma zkąd wziąć.

Prezes.

Toż dostanę
Przecię więcéj za moje akcye cukrowniane.

Geld.

To są strasznie niepewne teraz kapitały;
Już cukrownie nie stoją tak jak dawniéj stały.
A zresztą każde akcye to jest dochód czysty
Dla człowieka przemysłu, lub kapitalisty,
Który liczy na pewne zyski choć nie skore,
Który w porę kupuje i sprzedaje w porę,
Zna się na interesie i zły czas przeczeka;
Ale akcye niepewne zawsze dla człowieka,
Któremu brak nie daje oglądać się na to
I każe jakbądź sprzedać, chociażby ze stratą.

Prezes.

Sam mi je odstąpiłeś.

Geld.

I któż temu przeczy?
Ale wtenczas inaczéj całkiem stały rzeczy,
Dałem ci ich niewielką liczbę na początek,
Bo i one szły lepiéj, i tyś miał majątek.

Zresztą czas był po temu, swobodny, spokojny;
Teraz przyszły bankructwa, brak kredytu, wojny,
I choć to na tutejsze sprawy wpływa mało,
Zawsze się coś tam z tego i akcyom dostało.

Prezes.

Tak, prawda.

Geld.

Więc to fakt już czysto wywiedziony,
Że akcye mało znaczą; zaś majątek żony
I córki, którym z prawa rozrządzasz, prezesie,
Nic ci oprócz procentu więcéj nie przyniesie,
Bo tylko niepoczciwy cudze nadweręża;
Przytém dla twojéj córki musisz szukać męża,
Któremu trzeba spłacić summę posagową,
Co już twoje dochody umniejszy połową,
A obecnie zapewne bardzo trudno, żeby
One i tak starczyły na twoje potrzeby.
Pamiętaj zaś co mówił w Izbie D'Israeli:
Zawsze tych, co nie liczą, w końcu dyabli wzięli.

Prezes (opuszczając rozpaczliwie ręce).

Cóż mam robić?

Geld.

Nie masz znów tak się martwić o co,
Kiedy ja ci przychodzę z radą i pomocą.
Prawdę mówiąc, choć żonę twoją wielce cenię,
Wiem, że i ona także ma przyzwyczajenie

Do zbytków. Wszystko tutaj strojne, świetne, nowe.
Ty lubisz winko, karty, wygódki domowe.
Córkę waszą w zamożnym wychowaną domu,
Niełatwo zadowolić będzie lada komu.
Wszystko na stopie pańskiéj, przyznać ci to muszę,
Ale na to potrzebne ogromne fundusze.
Straszna rzecz kiedy w pańskość bieda się zagęści.
Otoż ja chcę ci ulżyć chociaż w trzeciéj części
I dać folgę tym troskom, co cię niepokoją.

Prezes.

A to jakim sposobem?

Geld.

Biorąc córkę twoją.

Prezes.

Ależ...

Geld.

Wiem co chcesz mówić, choćbyś się nie pytał,
Że biorąc córkę wezmę przytém i kapitał.
Lecz przecięż znając dobrze interesa moje,
Wiesz, że o te kilkakroć bynajmniéj nie stoję.

Prezes.

Zły ojciec, co los córki na pieniądze waży.

Geld.

Ja ci nie proponuję kupna i sprzedaży,
Bynajmniéj, znam drażliwość tak zaszczytną w tobie,

I nie chcę ci ubliżać w najmniejszym sposobie.
Zresztą i sambym nie chciał, jak to czyni wielu,
Kupować sobie żony, jak sprzętu bez celu.
Lecz panna Julia miła i zacna osoba,
Znam ją dawno, i dawno już mi się podoba.
Może trochę kapryśna, fantastyczka może;
Ale ja się tém znowu tak bardzo nie trwożę:
Mam dosyć na kaprysy i moje i czyje.
A więc, jak mówi Wolter, ręka rękę myje:
Co z jednéj strony braknie, to się z drugiéj doda.
Podaj rękę prezesie, i niech będzie zgoda.

Prezes.

Pozwólże niech odetchnę; twoje zapytanie
Tak mnie nagle napadło i niespodziewanie,
Że...

Geld.

Owszem, nie przeszkadzam, rozważ rzeczy ściśle;
Ale wiem, że przystaniesz po dobrym namyśle.
Bo przyznaj, że ofiara, którą czynię tobie,
Z pewnością musi strony zadowolić obie.
Jako zięć ważne mogę oddać ci przysługi:
Oczyszczę twój majątek, pousuwam długi,
Zestosuję z rozchodem dochód jaki będzie,
Słowem ład i porządek zaprowadzę wszędzie,—
A ty wiesz, że na ładzie wszystko w świecie stoi.
Wreszcie toż będzie kiedyś fundusz żony mojéj;
Niech lepiéj weźmie ona niż obcy zabiorą.

Wiem naprzykład, żeś w karty przegrał znowu sporo
W resursie, przytém także masz inne wydatki;
Więc na dowód, że jestem w interesach gładki,
I że się przysługiwać przyjaciołom lubię...
(Wyjmuje z kieszeni pugilares i podaje go prezesowi:)
Masz sześć tysięcy rubli, oddasz je po ślubie.

Prezes (odpychając pugilares).

Zmiłujże się!

Geld (nalegając).

Ale weź!

Prezes (j. w.).

Nie, tego nie zrobię.

SCENA VI.

Ciż sami, wchodzi **Julia** w kapeluszu i w mantylce, za nią **Adam** z paczką książek pod ręką i **Służący** z dwiema paczkami, które kładzie na krześle i wychodzi.

Julia (wchodząc, do Adama).

No, wejdźże pan już ze mną i chciéj spocząć sobie.

Prezes (spostrzegając córkę, zakłopotany).

Julisia!

Geld!

Panna Julia!
(Powstaje z miejsca, zostawiając pugilares na stole przy Prezesie i kłania się Julii).

Julia (przybiega do Prezesa i całuje go w czoło).

Tak, ojcze... ja sama.

(Oddaje lekki ukłon Geldowi, potém zdejmując kapelusz i mantylkę, mówi trochę ironicznie:)

A jeszcze przyprowadzam tu pana Adama,
Co mnie raczył pilnować z gorliwością całą,
Ażeby mi się w drodze nic złego nie stało.

Prezes.

Gdzieś była?

Julia.

Wyszłam z rana w towarzystwie sługi,
Miałam bowiem sprawunków regestr dosyć długi,
W drodze spotkałam pana,

(wskazując na Adama:)

jak z miną ponurą
Dorabiał jakiś sonet do słońca za chmurą.
Widać mu niewygodnie stać było na zimnie,
Bo złączywszy się zemną skończył sonet przy mnie.

Adam.

Pani bardzo złośliwa.

Julia.

Ale broń mnie Boże!
Pańska proza od wierszy nie piękniejsza może.

Geld.

A jakże też sprawunki pani się udały?

Pewno musiała pani stargować niemały
Transport różnych nowości, kapeluszy, wstążek?

Julia.

O, ja tylko dla siebie chciałam kupić książek
I nut, bo po to zawsze trzeba mi iść saméj.
Wstążki i kapelusze rzecz wyłącznie mamy.
(Pokazuje na paczki, które przyniosła służąca:)
Trochę wzięłam, a resztę księgarz sam mi przeszle.
(Do Adama, który ciągle trzyma paczkę pod ręką:)
Czemuż pan nie położysz téj paczki na krześle?
I tak się pan jéj w drodze nadźwigałeś dosyć.
(Odbiera od Adama paczkę i kładzie ją na fotelu.)

Geld.

Dla poety przyjemnie zawsze książki nosić.

Adam.

Tak, to są przyjaciele, którym, wyznam szczerze,
Zawsze najmocniéj ufam i najlepiéj wierzę.
Z nich czerpię główną życia mojego osnowę.
(Z przyciskiem:)
To moje weksle, akcye, bilety bankowe.

Geld.

I na te akcye liczyć mógłbyś pan najśmieléj,
Byleby je *al pari* księgarze brać chcieli.

Adam (zapalając się).

Wiedz pan, że myśl poety wyższém skrzydłem wzlata,
Nie troszcząc się daremnie o marny zysk świata,

Ja sam, choć na tę nazwę nie wiem czy zasłużę,
Nie oglądam się w drodze na ziemską kałużę,
Biegnąc w ślad jasnéj gwiazdy, co mi świeci w dali,
Nie dbam czy księgarz kupi albo tłum pochwali.

Geld.

Wierzę temu twierdzeniu z przekonaniem całém,
Bo dotąd pańskich książek wcale nie widziałem.

Adam.

Bom nie pragnął mych myśli rozpleść w żywém słowie,
Ale mam je tu w sercu i mam je tu w głowie.
Zresztą dla kogoż pisać? czy tutaj niestety,
Zrozumie kto uczucia i boleść poety?
Naród nasz bezrozumny jako błędne owce
Daje się lada komu wywieść na manowce;
Chcąc, by cnót jego ogon podziwiano pawi,
Kocha to co mu schlebia i to co go bawi,
Najwznioślejsze natchnienia w szmaty prozy potnie,
I daje wyższéj myśli marnieć bezpowrotnie.
Tu kraj, w którym kamieniem zawsze za chleb płacą,
Dla kogoż tu mam pisać? dla kogo i na co?

Julia.

O nie, panie Adamie, zła taka jest mowa!
Naród, co w łonie swojém czystą wiarę chowa,
Naród, który żył sercem i cierpiał przez serce,
Nie mógł świętości swoich zagrześć w poniewierce.
Jaka bądź zboczeń kraju może być przyczyna,
Poeta błogosławi, ale nie przeklina.

Będzie cierpiał... bo Bóg go przez najwyższe tchnienie
Wskazał na większą miłość i większe cierpienie;
Ale rąk nie opuści i wiary nie straci:
Będzie pisał dla braci i nauczał braci.

Adam.

Lecz pani źle pojęła to uczucie we mnie.

Geld.

Złóż broń panie Adamie, sprzeczać się daremnie,
Bo najlepiéj te rzeczy rozumie kobieta,
Jak powiedział Odyniec w swym „Świat i poeta.”

Adam.

Kraszewski nie Odyniec.

Geld.

On czy nie on mniejsza,
Ale zawsze powiedział, to rzecz najważniejsza.
Lecz zmieńmy kwestyę, tém się spór najlepiéj utrze:
Ja tu przybyłem z prośbą.

Julia.

A jaką?

Geld.

Pojutrze,
W mojém nowém mieszkaniu otwieram salony.
Pani Laura, śpiewaczka nadworna z Lizbony,
Ma śpiewać; przytém zagra Fuchs na wiolonczeli,
Potém może zatańczą. Gdyby państwo chcieli

Udarować mię swojém towarzystwem miłém,
Radbym był nieskończenie. Niewiele sprosiłem
Osób; samo znajome i poufne grono:
Książę Janusz, szambelan, hrabia Alfons z żoną,
Słowem wszyscy *du beau monde*, dobrze państwu znani.
Wszak nie zechcesz odmową zasmucać mnie pani?

Julia.

To od ojca zależy.

Geld.

E... on mi nie może
Odmówić. (Do prezesa:) Cóż prezesie?

Prezes (w zamyśleniu odpowiada machinalnie).

Co?

Geld.

Że na wieczorze
Będziesz u mnie z paniami; nie odmówisz przecię?
No cóż?

Prezes (jakby nie wiedząc o czém mowa).

Nie wiem... zobaczę.

Geld.

Już państwo będziecie
Pewno, bobym odmową zmartwił się ogromnie.
(Do Adama:)
A może i pan Adam raczy przybyć do mnie.

Adam (kłania się w milczeniu).

Geld (spoglądając na zegarek).

A teraz czas mi śpieszyć na sessyę bankową.
(Jakby przypominając sobie coś:)
Ale... panie Adamie, jeszcze jedno słowo.

Adam.

Co pan rozkaże?

Geld.

Wielką mam prośbę do pana:
Na tym wieczorze ma być kantata śpiewana,
Do któréj jest muzyka dorobiona nowa;
Tylko trzebaby jakoś popoprawiać słowa,
A panu, który w rymy tak jesteś bogaty,
Byłoby łatwo...

Adam (przerywając).

Zrobić wiersze do kantaty;
Przepraszam, nie potrafię.

Geld (nalegająco).

Niech pan nie udawa,
I choć nie mam żadnego do łask pańskich prawa,
Wiem, że to małym będzie dla niego kłopotem.

Adam.

Ależ...

Geld (biorąc go gwałtem prawie pod ręce.)
Już pójdź pan, w drodze pomówimy o tém.
(Wychodzi z Adamem).

SCENA VII.

Prezes, Julia.

Julia (wyjmując książki z paczek,
i rozkładając je jedna po drugiéj na stole).
No... teraz przejrzę wszystko od deski do deski.
(Pokazując z daleka książki prezesowi:)
Patrz ojcze, Lenartowicz... Pol, Bohdan Zaleski,—
Co tu skarbów!... Moniuszki dwa śpiewniki nowe...

Prezes
(siedzi ciągle zamyślony z głową opartą na ręku).

Julia (zbliża się do prezesa i bierze go za rękę).
Co ci jest ojcze?... słabyś?

Prezes.
Tak... trochę... na głowę.

Julia.
Pewno znowu masz jakie zmartwienia, kłopoty;
Przejdź się trochę, rozerwij.

Prezes.
E... nie mam ochoty
Do rozrywki.

Julia.

Coś ciebie udręczyć musiało,
Ależ bo dbasz o siebie, mój ojcze, zbyt mało.
Nie można tak swém zdrowiem szafować ze stratą:
Dawno już zamierzałam złajać ciebie za to.

Prezes (całując ją).

Julciu moja!

Julia.

Gdyby rząd słuchał mego zdania,
Toby zniósł wszystkie wasze te męzkie zebrania,
Bo to nieraz zabawą nie są dla was żadną,
A co gorsza, że żonom i dzieciom was kradną.
Sam powiedz, co cię ciągnąć do resursy może?
Powracasz późno w nocy, często w złym humorze,
Z rana jesteś zmęczony, niezdrów, ociężały,
Już ci to zaraz na nic zepsuje dzień cały.
Niech się Anglik lub Francuz kocha w życiu takiém,
Ale mój drogi ojcze, ty jesteś Polakiem.
Naszych przodków zajęcie było wcale inne:
Oni wiedli domowe życie i rodzinne,
I lepiéj się z tém działo na ojczystéj ziemi,
Niż z waszemi klubami dziś nowomodnemi.

Prezes (pociągając ją do siebie).

Coś za bardzo mnie łajesz.

Julia.

Bo cię kocham bardzo.

Niech inni uczuciami domowemi gardzą,
Niech sobie własne życie marnotrawią sami,
Ale ty, co nas kochasz, znajdziesz szczęście z nami.

Prezes (trochę rozweselony).

Ho... ho... ho... jakie mi tu wręcz prawisz morały!
Widzę, z ciebie Julisiu jest jurysta cały,
Kiedy tak mnie tniesz prawdy dobitnie choć słodko.
Toż ty będziesz dla męża prawdziwą despotką.

Julia (zamyślona).

Dla męża?...

Prezes.

A tak, wszakże biorąc rzeczy ściśle,
Czas już myśleć o mężu.

Julia.

E... wcale nie myślę.

Prezes.

Czyż ci tak straszna przyszła ta mężowska postać?
No?... powiedz?...

Julia.

Mnie tu dobrze, i wolę tu zostać.

Prezes.

No... no...

Julia.

I choć mnie mowa twoja nie zatrważa,

Bo wiem, że mnie nie będziesz zmuszał do ołtarza,
Choć mam w tém wyrobiony sąd już i gotowy,
Pragnęłabym, byś zmienił ten przedmiot rozmowy.

Prezes.

Czemuż?

Julia.

Bo ja inaczéj sądzę, aniżeli
Ci, co to sobie normę powszednią przyjęli
I dzisiejszym zwyczajom nie chcąc czynić gwałtu,
Kochają się dla mody, a żenią dla kształtu.

Prezes.

Ba... filozofka z ciebie.

Julia.

I młodzież tutejsza
W żadnym razie téj mojéj odrazy nie zmniejsza.
Wśród ogólnéj bezmyśli, płochości, pustoty,
Znikły w nich już bez śladu dawne męzkie cnoty.
Napuszeni próżnością, w lenistwie zgnuśnieli,
Ustąpili pierwszeństwa wzgardzonéj kądzieli.

Prezes.

Tak sądzisz?

Julia.

Idąc za mąż, pragnęłabym przecię
Znaleźć to, czego właśnie braknie mnie, kobiecie:
Człowieka z silnym duchem, a pojęciem zdrowém,
Przykład, radę, naukę, — męża jedném słowem,

Któryby silnie ujął ster małżeńskiéj łodzi...
A tu w około jacyś staruszkowie młodzi,
Co wybledli zużyciem, wadami zgarbieni,
Noszą ducha w żołądku, a serce w kieszeni.

Prezes.

Jakto! nie ma wyjątków?

Julia.

Bardzo, bardzo mało;
Szukać ich zbytby wiele trudu mi zadało,
Chybaby zgadnąć jakiém natchnieniem proroczém,
Kto z nich... Ale powtarzam, nie ma mówić o czém,
W każdym razie to dla nas zbyt wczesny frasunek.

(Zmieniając ton mowy:)

Widzę, że ojciec nowy zakupił sprawunek.

Prezes.

Co?

Julia (pokazując na pugilares Gelda, leżący przy prezesie).

A ten pugilares, jeszczem go nie znała
U ojca.

(Bierze go do ręki i ogląda.)

Wcale ładny.

Prezes (odbierając jéj pugilares i kładąc do kieszeni).

E... drobnostka mała.

(Na stronie:)

Ona mi przypomina o mojéj niedoli...
Zostawił... co tu począć?

(Do Julii, biorąc się za głowę:)

Coraz gorzéj boli.

(Powstaje z fotelu.)

Masz słuszność, pójdę przejść się, ulży mi to może;
Wrócę wkrótce.

(Wychodzi.)

SCENA VIII.

Julia (sama).

No, teraz wszystko tu ułożę.

(Porządkuje książki i nóty, bierze do ręki jeden kajet z nótami, otwiera i nóci półgłosem.)

Chodź-no tutaj kochanie,
Daj znak ręką, rzecz słowo,
Dam ci szatę perłową
I z klejnotów ubranie;
Wszystkie w życiu ci chwile
Barwy szczęścia ustroją,
Gwiazd ci z nieba przychylę...
— Nie... nie mogę być twoją.
Zbliż się do mnie dziewczyno,
Porzuć wiejskie wrzeciono;
Chcesz? zostaniesz hrabiną,
Herb ci nadam z koroną.

U mnie pałac bogaty,
Sługi hurmem się roją,
Złotem tkane komnaty...
— Nie... nie mogę być twoją.
O ty dziewczę serdeczne,
Bądź mi wzajem życzliwą,
Dam ci wiarę uczciwą
I uczucie stateczne.
Razem pójdziem dłoń w dłoni
W świata nędze i płacze,
Miłość cię ma osłoni....
— Jeśliś szczery, zobaczę.

SCENA IX.

Julia i Karol.

Karol

(który wszedł podczas ostatniéj zwrotki piosenki Julii, zbliża się niepostrzeżony przez nią i mówi).

Najszczerszy.

Julia

(odwraca się z lekkiém wykrzyknięciem przestrachu).

A! pan Karol.

Karol.

W méj własnéj osobie.

Julia.

Bo pan tak wszedłeś....

Karol (pokazując na drzwi).

Drzwiami.

Julia.

Pan żartujesz sobie,
A jam się przestraszyła... o!... aż twarz mię pali.

Karol.

Cóż ja winien? służący gdzieś się zapodziali,
Czekanie w przedpokoju nie jest bardzo miłém,
Więc wszedłem i niechcący panią przestraszyłem.

Julia.

Pan do ojca?

Karol.

Tak, pani.

Julia.

Ojciec trochę słaby,
Wyszedł przejść się...

Karol.

Poczekam na niego, chybaby
Dla pani to w czémkolwiek niedogodném było.

Julia.

O, proszę pana, owszem, bardzo mi jest miło.

Karol (pokazując na książki).

Widzę nowe zapasy przybyły książkowe.

Julia.

Pan znasz już te nowości?

Karol.

Ledwie przez połowę.
Myśmy pracą do stanu naszego wprzęgnięci,
Więc chwile co czytaniu każdy z nas poświęci,
Są zbyt rzadkie; jednakże czytam, ile mogę.

Julia (z przekąsem).

O wiem, że pan przywdziawszy urzędową togę,
Obrałeś sobie cele i zajęcia inne,
Że te książki dla pana to fraszki dziecinne,
Co dla płytkich umysłów są tylko zabawą:
Pana zajmuje za to ekonomia, prawo,
Historya...

Karol.

Tak, wyznaję, mém staraniem całém
Jest kształcić się w zawodzie, co sobie obrałem.

Julia.

I za poezyę życia ten zawód już stanie?

Karol.

Nie krzywdź go pani, piękne to jest powołanie,
W niém bowiem....

Julia (przerywając mu).

Wiem już z góry wszystko, co pan powie:

O wykryciu niewinnych, o sierocie, wdowie,
O tych, których się broni, tych, których się wspiera,
O wielkim Cyceronie, Thiersie et caetera.
Wiem, że wy Europy odmieniacie postać,
Że każdy z was ministrem mógłby wszędzie zostać,
Jak ów żołnierz, co nosi w tornistrze buławę.
Sto razy już słyszałam te rzeczy ciekawe,
I w dziennikach czytałam już o nich niemało.
Jednak z dobrodusznością wyznam panu całą,
Że wolę nawet mierność poczciwą, sercową,
Od tych geniuszów, którzy żyją tylko głową.

Karol.

Spodziewałem się tego; znam dobrze, niestety!
Jak na te rzeczy patrzeć przywykły kobiety;
Wiem, że nas ludzi czynu, co żyjemy pracą,
Macie za rzemieślników, bo nam złotem płacą;
Wierzycie, że przed zyskiem uchylamy głowę,
I że nam rubel daje czucie i wymowę.
A chociaż to o klęski kraj nasz przyprawiało,
Że szczerych pracowników tu było zbyt mało,
Znam wielu, co tak w swoich opiniach skostnieli,
Żeby z samych poetów Polskę złożyć chcieli.
Jednak....

Julia.

Jeśli uczony traktat pan rozpocznie,
To ja muszę zwycięztwa ustąpić widocznie,
I wiem, że pan mnie swemi dowodami zgniecie,
Których go wyuczono w uniwersytecie.

Karol.

O! nie myśl pani, by mnie brała tu pokusa
Przyzywać do pomocy Say'a lub Malthus'a;
Racz wierzyć, że nie jestem tak straszny bluźnierca,
Bym miał walczyć rozumem, gdy chcę bronić serca;
Bo wszakże w swych zarzutach głównym pani mieni,
Żeśmy wszyscy w ogóle serca pozbawieni.

Julia (uśmiechając się).

Tak... trochę....

Karol.

Otoż właśnie ja twierdzę inaczéj,
I pewno na me zdanie przystać pani raczy,
Gdy powiem, że tam tylko siła istnieć może,
Gdzie się zrównoważyły te dwa dary Boże
I wspólną zgodą dążą do obranéj mety.
Gdyby Bóg mnie miłością natchnął do kobiety,
Miłością, co się nie da w zimne ująć słowa,
Ale serce człowieka zapełnić gotowa,
I gdybym jéj pożądał siłami wszystkiemi,
Jako najwyższéj dla mnie radości na ziemi:
Czy sądzisz, że z tém sercem miłością bogatém
Chciałbym się popisywać przed nią i przed światem?
Bym śmiał kalać ten ołtarz, com jéj stawił w duszy
Konwencyonalną próbą miłosnych katuszy?
Nie, pani—przywoławszy milczenie na usta,
Badałbym jéj charakter, jéj skłonności, gusta,

Każdy jéj krok rozważnie śledząc i tajemnie,
Chciałbym zyskać jéj ufność, wzbudzić wiarę we mnie;
A gdybym się tém wszystkiém utwierdził w wyborze,
Gdybym widział, że ze mną szczęśliwą być może,
Wówczas... o! wówczas tylko podałbym jéj ramię
Jako podporę, która pod nią się nie złamie.

Julia.

I pan sądzisz, że ona wytrwawszy w téj próbie,
Przyjmie miłość na zimnéj opartą rachubie,
Która tak krok za krokiem chce stawiać nieśmiało,
Obawiając się, by jéj co nie zagrażało?
Która zawodząc wszędzie swój ład gospodarczy,
Badać będzie czy wspólny dochód wam wystarczy?
O nie—taka kobieta prawdziwie kochana
Pragnęłaby...

SCENA X.

Ciż sami — Prezes.

Prezes (wchodząc).

A witam, witam mego pana.

Karol.

Czekałem na prezesa.

Prezes.

A... to uroczyście
Przepraszam. Pewno z Julią spór jaki wiedliście,

Bo to ona uczone strasznie lubi spory.
Chodziłem przejść się trochę, bom na głowę chory.

Julia.

Ojciec zawsze żartować lubi przez połowę:
Gdzieby mi się znów wdawać w spory naukowe?
Czyżby pan chciał z profanką prowadzić rozprawy?
Tak sobie... gawędziłam trochę dla zabawy,
A pan do tych drobnostek zniżał się łaskawie.
Teraz zostawiam panów poważniejszéj sprawie.
(Kłania się ceremonialnie Karolowi i wychodzi.)

SCENA XI.

Ciż sami oprócz **Julii.**

Prezes (patrząc za odchodzącą Julią).

Czyście się powadzili z Julisią?

Karol.

Broń Boże.

Prezes.

Bo mi się zdała jakoś w nieswoim humorze.
Lecz kiedy nie, tém lepiéj... Cóż sprowadza do mnie
Pana?

Karol.

Interes ważny i pilny ogromnie,
Pański własny interes.

Prezes.

Czy o summy owe?

Karol.

Tak jest.

Prezes.

Jakże? bezpieczne?

Karol.

Jakby przez połowę
Przepadły już.

Prezes.

Co? jakto? spadnę z niemi?

Karol.

Właśnie.

Prezes (w największym gniewie).

A niechajże to piorun siarczysty zatrzaśnie!

Karol.

Jeszcze nie chcę ich stratą tak zatrważać pana,
Ale ta hypoteka strasznie zaszargana;
Długów jak maku, bezład, wszystko tam jak w lesie,
I połowy wartości sprzedaż nie przyniesie...
Dziwno mi, żeś pan zagrząsł w kółku tak zawiłém...

Prezes.

A cóż? na większy procent się ułakomiłem;
A co z najboleśniejszéj dogryza mnie strony,

Że to są właśnie córki pieniądze i żony.
(Po chwili:)
I powiedz pan, czy żadnéj już nie ma nadziei?

Karol.

Trzeba czekać aż przyjdzie ta sprawa z kolei;
Jednak wyznać tu muszę ze szczerością całą,
Że mi bardzo niewiele nadziei zostało.

Prezes.

Nie wiesz, panie Karolu, ile mi zależy
Na tém! Już zrób co można...

Karol.

Przyrzekam najszczerzéj
Zająć się sprawą pańską; dla tego po drodze
Wstąpiłem tu, i zaraz na sądy odchodzę,
Bo mam mówić z przeciwnéj strony adwokatem.

Prezes.

Pomów, pan: wiele... wiele zależy mi na tém.

Karol.

Wierzaj mi pan, że życzę panu jak sam sobie.
(Wychodzi.)

Prezes (pozostawszy sam, mówi załamując ręce).

Ostatni mój ratunek! co ja teraz zrobię?

AKT II.

(Pokój przytykający do sali balowéj w mieszkaniu Gelda. W głębi z prawego rogu drzwi wychodzące na salę balową. Z lewego rogu wejście do dalszych appartamentów. Umeblowanie zbytkowne. Z przodu sceny z prawéj strony stolik od kart, przy którym trzech graczów i prezes. Z lewéj szesląg w nowym guście, przy nim stolik, dwa fotele. Na stoliku od kart cztery świece. Na stoliku przed szeslągiem lampa słoneczna ze szkłem nieprzezroczystém. Kinkiety przy ścianach dają światła trochę przyćmione, niebieskiéj barwy. W przerwach słychać muzykę balową.)

SCENA I.

Prezes i trzéj gracze przy stoliku od kart.
Partya się kończy. Późniéj **hrabia Alfons.**

Pierwszy gracz (rachując kredą na stole).

Gdybym nie wpadł przy końcu na te dziewięć w kiery,
Byłbym wygrał.

Drugi gracz.

Tu jeszcze trzydzieści i cztery.
Tak... no, teraz już zgodno.

(Wszyscy wstają i rozpłacają się.)

Trzeci gracz.

Jak też nieszczęśliwie

Ciągle szło prezesowi! Na prawdę się dziwię,
Że jeszcze stosunkowo zrobił płatek mało.

Hrabia Alfons
(wchodząc uderza prezesa po ramieniu).

I cóż prezesie? jakże dzisiaj się udało?

Prezes.

Przegrałem.

Hrabia Alfons.

No... i wiele?

Prezes (z lekceważeniem).

Dwa tysiące złotych
Niecałe.

Hrabia Afons.

No, no, widzę, że należysz do tych,
Którym fortuna stale uskąpiła ręki.

Pierwszy gracz (do hrabiego Alfonsa).

Czy już koncert się skończył?

Hrabia Alfons.

A już, Bogu dzięki.

Prezes.

Pani Lara śpiewała?

Hrabia Alfons.

Dano ją na wety.

Pierwszy gracz.

Ma bardzo ładnie śpiewać; niemieckie gazety
O jéj wysokich tonach prawiły nam cuda.

Drugi gracz.

Jakże się podobała hrabiemu?

Hrabia Alfons (ziewając).

. Za chuda.

Pierwszy gracz.

Czy wystąpi publicznie?

Hrabia Alfons.

A... ja jéj nie bronię,
Ale nie pójdę.

Pierwszy gracz

(biorąc pod rękę drugiego gracza).

Trzeba przejść się po salonie.

(Odchodząc:)

Znasz tu wszystkich?

Drugi gracz.

E, gdzie tam!

Pierwszy gracz.

A i ja jak w lesie.

(Wychodzą, za nimi trzeci gracz).

Hrabia Alfons.

Przepraszam za natręctwo kochany prezesie,
Ale bo mnie ostatnia potrzeba przyparła,
Jak to czasami bywa... ty wiesz... nóż do gardła.
Przecięż kiedyś fortuna odda ci wet za wet.

Prezes.

E! głupstwo, nie ma o czém i wspominać nawet.
Zawsze postępuj ze mną jak tobie dogodniéj.

Hrabia Alfons.

No, pójdźmy.

(Chcą wyjść i spotykają się we drzwiach z Geldem i z prezesową.)

SCENA II.

Ciż sami, Prezesowa, Geld.

Geld (prowadząc prezesową pod rękę).

Służę pani, tu będziem swobodni,
Bo tam w tym gwarze trudno nawet przyjść do słowa.

Prezes.

A... moja żona.

Hrabia Alfons.

Jakto! pani prezesowa
Chce uciekać przed tańcem?

Prezesowa.

Tak, wyznaję szczerze,
Że mnie już taniec nudzi.

Prezes (do Gelda żartobliwie).

Jak widzę, bankierze,
Coś się do mojéj żony bierzesz nie na żarty,
A dzisiaj nie masz szansy, bo przegrałem w karty.

Geld (tym samym tonem).

Otoż właśnie przysłowiu ja na przekór zrobię.

Hrabia Alfons (do prezesowéj).

Jakże się podobała śpiewaczka?

Prezesowa.

Tak sobie,
Wyższe tony krzykliwe.

(Kiedy hr. Alfons rozmawia z prezesową, prezes bierze na stronę Gelda).

Prezes.

No, jakże się stało?
Sprzedałeś?

Geld.

Ale gdzież tam! dają strasznie mało;
Teraz każdy niechętnie w te rzeczy się gmatwa,
Kapitały się kryją, więc sprzedaż niełatwa.

Prezes.

Zmiłuj się, jak bądź sprzedaj.

Geld.

Cukrownie źle stoją.

Prezes.

Już zrób to.

Geld.

Co się dzieje z propozycyą moją?
Bo jabym pragnął sercem dopomódz ci całém.

Prezes (zakłopotany).

Jeszcze dotąd Julisi nie wyrozumiałem.

Geld.

To pomów z nią.

Prezes (pokazując na żonę).

Emilka ma także wpływ na nią.

Geld.

A ja właśnie chcę o tém mówić z twoją panią.

Prezes.

Dobrze zrobisz.

Hrabia Alfons (kłaniając się prezesowéj).

Najchętniéj wszystko uskutecznię.

Prezes (do hrabiego Alfonsa).

No, pójdźmy, bo tym państwu byłoby niegrzecznie
Przeszkadzać.

(Wychodzą.)

SCENA III.

Prezesowa, Geld.

(Prezesowa siada na szeslągu, Geld na fotelu przy niéj).

Prezesowa.

Śliczne pańskie zebranie dzisiejsze.
Masz pan tu towarzystwo nasze najświetniejsze,
I przyznam się, nie wszyscy tak wystąpić mogą,
Bo też takie wieczory kosztują zbyt drogo.

Geld (z lekceważącym gestem).

Drobnostka.

Prezesowa.

Tak, gdy kto ma majątek Krezusa.
Mnie bo tu oto zaraz przychodzi pokusa
Pańską grzeczność na próbę wystawić.

Geld (uprzedzająco).

Niech pani
Rozkaże, ja gotowem wszystko zrobić dla niéj.

Prezesowa.

Nie jest to panu tajném, z jak ogromnym trudem
Pragniem wszczepić moralność między prostym ludem;
I ażeby ku temu wszystkie zwrócić siły,
Noweśmy towarzystwo umyślnie stworzyły,
Co ma za cel wydobyć z zepsucia kałuży
Wyrobników, tragarzy, dorożkarzy, stróży.

Geld.

A, wiedziałem już o tém, i nawet podobno...

Prezesowa (przerywając mu).

Chciałyśmy stworzyć dla nich ochronę osobną,
W któréj zamiast do szynku, z rana na czas krótki
Wstępując, miećby mogli kawę w miejsce wódki,
A wieczorami, które zwykle całą zgrają
Na hulance i tańcach w szynkach przepędzają,
Możnaby tam urządzić osobne zebrania,
W którychby mieli swoje moralne czytania.

Geld.

Prawdziwie, myśl prześliczna!

Prezesowa.

Ale dodać muszę,
Że na to są potrzebne niemałe fundusze,
I choć chcemy to zrobić bardzo gospodarczo,
Wątpię, czy te pieniądze, co mamy, wystarczą,
A na wiatr trudno zacząć. To mnie właśnie skłania,
Żeby żądać pańskiego dzisiaj współdziałania.

Geld.

Niech pani rozkazuje, owszem, bardzo proszę.

Prezesowa.

Idzie więc przedewszystkiém o połów na grosze,
A że litość w zabawie najłatwiéj się krzepi,
Zdaje mi się, że koncert urządzić najlepiéj.

Pan mi tedy do tego dopomożesz dzieła.
Chcę, by w nim pani Lara główny udział wzięła,
Bo to ona nowością teraz dla Warszawy.
Hrabia Alfons przed chwilą także był łaskawy
Przyrzec mi wszelką pomoc możliwą w tym względzie.
Jednak *franchement* sądzę, że najlepiéj będzie,
Jeżeli pan sam zechcesz poprosić ją o to.
Wszak to pan dla mnie zrobisz?

Geld.

Z największą ochotą,
I ażeby życzenia jeszcze dowieść szczersze...

(Wyjmuje z pugilaresu kilka biletów bankowych i oddaje je Prezesowéj).

Zakupuję tu zaraz sto biletów pierwsze,
Przyrzekając w téj sprawie wziąć udział gorący.

Prezesowa (zabierając i chowając pieniądze).

Dziękuję panu w imię ludzkości cierpiącéj.

(Z westchnieniem:)

Jakże wdzięcznym powinien być za łaski Boże,
Kto jak pan bez rachunku biednym świadczyć może!

Geld.

To pani nie jest dla mnie ofiarą, a przytém
Wiem, że pieniądz w mych rękach tylko depozytem;
Bo tych, których majątkiem darzy na téj ziemi
Pan Bóg, uczynił tylko szafarzami swemi.
Jednakże...

Prezesowa.

Cóż?

Geld.

Powiada Platona nauka,
Że dawać nie jest sztuka, dobrze dawać sztuka.
A prawdziwie potrzebnych w tym żebrzącym tłumie
Sama tylko kobieta rozpoznawać umie.
Mnie zaś, pani, i na to żalę się niestety!
Brak właśnie takiéj ręki i serca kobiety.

Prezesowa.

To pan poszukaj żony.

Geld.

Bardzo mi jest miłém
To zdanie pani; tak też czynić umyśliłem.
Nawet cała ta sprawa przez pół ukończona,
Bom sobie obrał pannę za żonę.

Prezesowa.

A ona?

Geld.

Ona... toż w tém sęk właśnie, że nie wiem nic o niéj.

Prezesowa.

Czy się nie kocha w innym?

Geld.

A niechże Bóg broni!

Prezesowa.

Może rodzice?

Geld.

Z ojcem jesteśmy serdeczni.

Prezesowa.

Mogęż panu dopomódz?

Geld.

O! jak najskuteczniéj.

Prezesowa.

Wymień pan, szczera przyjaźń przeszkody zwycięża,
Któż ona?

Geld.

Panna Julia.

Prezesowa (ze zdziwieniem).

Córka mego męża?

Geld.

Tak jest.

Prezesowa.

Dla mnie nowością jest to tak dalece,
Że nawet...

Geld.

Los mój pani powierzam opiece.

Prezesowa.

Że nawet uszom własnym dotychczas nie wierzę.

Geld.

Pragnę się tu przed panią wyspowiadać szczerze.
Człowiek w mém położeniu i mojéj natury
Nie ma czasu się kochać i palić konkury.
Zresztą ja biorąc wszystko ze strony korzyści,
Chcę znać każdy interes najjaśniéj, najczyściéj
A wiem, że ten, którego miłość w sidła zmota,
Jak powiada Cycero, kupi w worku kota.
Choć tedy panna Julia, według mego zdania,
Ze wszech miar prawdziwego warta jest kochania,
Nie kocham jéj, oświadczam wyraźnie i jaśnie.

Prezesowa.

Po cóż więc chcesz się żenić?

Geld.

A dla tego właśnie...
Gdy nie czujem miłości żadnéj dla kobiety,
Poznajemy jéj wszystkie wady i zalety,
Anatomicznym całą krajemy ją nożem,
I przyszłość z nią już sobie prorokować możem.
Owoż ja pannę Julię zbadałem dokładnie.
Czy tam romansowości w sercu nie ma na dnie,
Nie wiem; ale o ile zdrowo sądzić mogą
Oczy, to ona dotąd nie kocha nikogo.
A dla mnie zawsze takie wakanse się śmieją,
Człek nie walczy z wspomnieniem, ani też z nadzieją.

Jest rozumna, nie zawsze to w żonie pomaga,
Ale u mnie w kieszeni będzie przeciwwaga
Jéj wpływów, pieniądz bowiem wszystko w świecie
[przeprze
I z największym rozumem może iść o lepsze.
Jest dobra, mniejsza o to, zdarza się nierzadko,
Że panna jak miód słodka bywa złą mężatką,
Zawsze to jednak lepiéj niż kiedy już z góry
Panna zła. Naukowéj nie brak jéj kultury,
I znajomości świata posiada niemało;
Możeby jéj się za to trochę więcéj zdało
Umieć rachować, ale przykład z góry bierze,
Sam prezes nieoszczędny, pani, mówiąc szczerze,
Lubisz zbytki....

Prezesowa (obrażona).

Co?

Geld (zimno).

Wszakże rzeczą umówioną,
Żem ja kontraktującą tylko tutaj stroną,
A strony w takich razach kłamstw się mówić strzegą.
Zresztą ni jéj, ni pani nie mam za złe tego;
Tak, prawdę powiedziawszy, zbytków się nie boję
I na to brzemię barki mogą starczyć moje.

Prezesowa (wzruszając ramionami).

Tu szło czy my za zięcia pana sobie życzym,
A mnie te jego barki nie obchodzą w niczém.

Geld (j. w.).

Owszem, bardzo obchodzą; bo wiadomo pani
Pewnie, żeście do szczętu dzisiaj zrujnowani.

Prezesowa.

Lecz panie...

Geld.

Mam zbyt dobrą o pani rozumie
Opinię, bym mógł sądzić, iż pani nie umie
Pojąć, iż dziś ubóztwo najsroższą jest klęską.
Kto z niebezpiecznéj walki wychodzi zwycięzko,
Tego świat egoista nie pyta o sposób;
On liczy cenę tylko nie zaś wartość osób.
Dawniéj, zanim się ludzkie rozbujały żądze,
Zasługa zyskiwała i cześć i pieniądze;
Dziś przyszedł dukat, wszystko na swą stopę mieniąc,
I jedyną zasługą na świecie jest pieniądz.

(Po chwili przestanku, widząc, że Prezesowa zamyślona nie odpowiada mu:)

Więc powtarzam, przymioty panny Julii cenię:
Posiada rozum, serce, dobre urodzenie,
I odłożywszy drobne jéj wady na stronę,
Dobry dla mnie interes pojąć ją za żonę.
Dla państwa także niezły. Mówi zaś Seneka:
Niedorzeczny kto dobry interes odwleka.
Więc, jeśli dasz mi pani swą pomoc łaskawą,
Własnym kosztem zbuduję tę ochronę z kawą.

Prezesowa (uśmiechając się).

Z panem trudno się sprzeczać, bo îdziesz przebojem.
Mogę o współdziałaniu ręczyć panu mojém,
Lecz to jeszcze nie daje nam pewnéj nadziei,
Czy żądane przez pana małżeństwo się sklei.
Choć pan jéj dość podrzędną naznaczasz tu rolę,
Julia ma swoją wolę, bardzo silną wolę,
Często swoje sympatye kryje w głębi ducha,
I nie zawsze rad, które jéj dajemy, słucha;
Przytém jest ona trochę w obłokach błądzącą.
Lecz pan mnie tak prosiłeś przekonywająco,
Że nie mogę się oprzeć, i przyrzekam szczerze
Wszelką pomoc w tym względzie.

Geld.

Ja zaś silnie wierzę,
Że jeśli pani będziesz wspierać mnie łaskawa,
To najpomyślniéj cała ukończy się sprawa.
A ja za to, powtarzam, wszelkiemi siłami
Będę pilnie pracował nad doróżkarzami,
I ku temu usilność moją zwrócę całą,
Ażeby się ich plemię ameliorowało.

(Podaje rękę Prezesowéj.)

Więc zgoda!

(Patrząc we drzwi:)

Panna Julia właśnie szuka panią;
Niechajże pani z góry zaraz wpłynie na nią.
Odchodzę.

(Wychodzi.)

SCENA IV.

Prezesowa, Julia.

Julia (wchodząc).

Tak się mama oddala od ludzi,
Widzę, że bal już mamę równie jak mnie nudzi.

(Spoglądając na drzwi, któremi Geld odszedł:)

Któż tu był?

Prezesowa.

Pan Geld.

Julia (żartobliwie).

To tak... mama wyszła z sali
Z nim sam na sam.... o czémże państwo tu gadali?

Prezesowa.

No, zgadnij.

Julia.

Zkądże mogę zgadnąć?

Prezesowa.

Ależ przecię.

Julia.

O akcyach holenderskich.... angielskim budżecie?

Prezesowa.

Nie.

Julia.

O wojnie?

Prezesowa.

I to nie.

Julia.

O nowym sposobie
Robienia cukru?

Prezesowa.

Gdzież tam!

Julia.

O czémże?

Prezesowa.

O tobie.

Julia (ze zdziwieniem).

O mnie?

Prezesowa.

Więcéj się może zdziwiłabyś jeszcze,
Gdybyś znała treść spisku.

Julia.

Przechodzą mnie dreszcze:
Musi być coś strasznego.

Prezesowa.

A.... być bardzo może.

Julia.

Cóż?

Prezesowa.

Ciekawości twojéj raz koniec położę
I.....

Julia.

I co?

Prezesowa.

Odłożywszy te żarty na stronę,
Powiem ci, że cię pan Geld chce pojąć za żonę.

Julia (wybuchając śmiechem).

Cha... cha... cha!... a to koncept miliona jest warty!
I mama śmie tu twierdzić, że to nie są żarty?
Ja żoną pana Gelda! Ja pani Geldowa!!.....
Ależ nie wiem czy ze mną on mówił dwa słowa.

Prezesowa.

Pokochał się na migi.

Julia.

Ależ...

Prezesowa.

Albo raczéj
Bierze cię bez miłości.

Julia.

Niech mama wybaczy;
Ale to takie dziwne dla mnie zagadnienie....

Prezesowa.

Jednak to bardzo łatwe do wytłómaczenia.
Pan Geld chce cię, boś mu się widać podobała
Na żonę, — tém zagadka wyjaśnia się cała.

Julia.

Jeszcze nic nie rozumiem.

Prezesowa.

Przecięż, moje dziecię,
Dosyć żyłaś i dość się napatrzyłaś w świecie,
By wiedzieć, że małżeństwa, co się tutaj tworzą,
Nie wszystkie są miłosną oświetlane zorzą.
Owszem, w dzisiejszym rzeczy ładzie i porządku
Najczęściéj się zdarzają małżeństwa z rozsądku.
Wielu się tak żeniło, i ożeni wielu.
Pan Geld cię właśnie w takim poszukuje celu.
Jest człowiekiem poczciwym, przytém ma miliony,
Czemu warto poświęcić affekt urojony.

Julia.

Wybacz mama, że przy mém zdaniu się ostoję,
Bo inne pod tym względem są pojęcia moje.
Nie jestem z tych, co życiem uczuciowém gardzą.
Pan Geld może być dobrym i poczciwym bardzo,
Nie przeczę również temu, że jest milionerem,
I że mnie uszczęśliwić pragnie sercem szczerém;
Ale, smutneby było życie na tym świecie,
Gdyby się dola na tém kończyła kobiecie,

By pierwszego lepszego miała wybrać rada,
Co nic złego nie zrobił i milion posiada.
To negacyjne tylko; cnoty zaś u męża,
Z którym się już na długo życie nasze sprzęża,
Jabym pragnęła widzieć, wyznaję to szczerze,
Wiarę w sercu, hart w duchu, stałość w charakterze.
Zkąd pewność, że być mogę szczęśliwą z człowiekiem,
Co mnie ledwie poznawszy w obejściu dalekiém,
Zaraz chce dobić o mnie kontrakt urzędowy?
Czyliż on mnie kupuje jako szyld sklepowy,
Co ma piękne litery w ulicę zwrócone,
Choćby skrywał przy murze czarną swoją stronę?
O nie!... małżeństwo dla mnie jest słowem zbyt świętém;
Nie chcę być wcale szyldem ni domowym sprzętem,
Zresztą, mając posagiem los już zapewniony,
Nie potrzebuję liczyć na cudze miliony.

Prezesowa.

Widząc w tobie tę pewność, martwię się i dziwię.
Bo jednak....

SCENA V.

Ciż sami, Geld, za nim **Karol.**

Geld (wchodząc szybko, do Prezesowéj).

A.... czekamy pani niecierpliwie,
Pani Lara pragnie być przedstawioną pani.
(Ciszéj:)
Już ułożony program: Wilhelm Tell, Hernani,
Prorok.

Prezesowa.

Brawo!

Geld.

Fuchs także.

Prezesowa (powstając).

Już idę.

(Do Julii:)

Kochanie,

Czy pójdziesz?

Julia.

Wolę zostać.

(Prezesowa wychodzi z Geldem.)

SCENA VI.

Julia, Karol.

Karol (który zrobił kilka kroków, żeby iść za Prezesową i Geldem, odwraca się nagle do Julii).

Niech się co chce stanie,

Powiem wszystko.

Julia.

Co panu? tak jakoś ponuro

Pan patrzysz.

Karol.

Mnie nic... słońce zakryło się chmurą.

Julia (oglądając się wesoło).

Ja tu widzę kinkiety.

Karol.

W żalu słów nie mierzę,
Mojém słońcem jest wiara, jam się zachwiał w wierze:
Znowu jedno złudzenie pierzchnęło ode mnie.

Julia.

Ale pan w siebie tego nie wmawiaj daremnie:
Pan i złudzenie... czyliż to się zgodzić może?

Karol.

A jednak ja jéj szczerze ufałem... mój Boże,
Wierzyłem w nią jak w promień méj gwiazdy przewodniéj,
Że obłuda światowa daleką jest od niéj,
Że w jéj sercu ukryto tchnienie łaski Bożéj,
Kroplę wielkiéj miłości, co aniołów tworzy,
Że w czystości duchowéj ozdobiona godła...

(Zatrzymując się chwilę i uderzając ręką po czole.)

W co wierzyć... komu ufać, gdy ona zawiodła!

Julia.

Któż taki?

Karol.

Kobieta.

Julia.

Dobrze, alež przecię...

Karol.

Kobieta! i ja mogłem uwierzyć kobiecie!
Mogłem sądzić, ufając w złudę, co nas mami,
Że czystéj wiary serca nie zdepcze nogami,
Że prawdziwe uczucia pojmie i odgadnie?
O nie! w sercu kobiety, w saméj głębi na dnie,
Jest kropla gliny ziemskiéj, którą gdy świat zmąci,
Wyjdzie na jaw i z nieba na ziemię ją strąci.

Julia.

Zupełnie przyznać panu jestem tu gotowa,
Że to jest bardzo piękna i wzniosła wymowa,
Bogata w porównania, i nie wątpię wcale,
Że pan mógłbyś tę sprawę wygrać w trybunale;
Ale ja mam pojęcie tępe, żal się Boże,
I nie wiem o co panu tutaj chodzić może,
Chciéj pan wyjaśniające jedno dodać słówko.

Karol (zmieniając ton mowy).

Przyznaj pani, ile ci zapisał gotówką?

Julia.

Mnie? kto?

Karol.

Przy intercyzie.

Julia.

Alboż ja ślub biorę?
Z kimże?

Karol.

Przecięż udawać byłoby nie w porę.

Julia.

Ale ja nie wiem, chyba pan sam mi klucz podasz
Od téj zagadki.... któż to?

Karol.

Tutejszy gospodarz.

Julia.

Pan Geld?

Karol (z przyciskiem).

Tak, pan Geld, bankier, ten kolos handlowy.

Julia.

Tu jak widzę dziś wszyscy potracili głowy....
Ale chciéj pan wyjaśnić mi, co pana skłania,
Ażeby mi zadawać te wszystkie pytania?
I w czém tu dobra wiara ma być obrażoną,
Czy zostanę albo nie pana Gelda żoną?

Karol (z wybuchem).

Co mnie skłania!...

(Miarkując się:)

Tak... prawda... to były marzenia,
Niewolno mi od pani żądać tłómaczenia,

Zawsześ mnie przyjmowała oziębłém obliczem,
Nie nadając mi prawa do nadziei w niczém.
Jednakże kiedym o tém posłyszał rozmowę,
A milczeniem te plotki stwierdził salonowe
Sam prezes...

Julia.

Co? mój ojciec?

Karol.

Tak, twój ojciec, pani,
Twój własny ojciec; — kiedy znani i nieznani
Zaczęli liczyć przyszłe twéj fortuny szczeble,
Jakie mieć będziesz domy, powozy i meble,
I rachować na pieniądz i oznaczać w cenie
Każdy uśmiech twéj twarzy, każde serca drgnienie;—
Gdym usłyszał te wszystkie słówka docinkowe,
Jakiś ból przejął duszę, jakiś zawrót głowę,
Jakby żarty, któremi trząsł się ten tłum cały,
Po kawale mi serce z piersi wyrywały.
O! nie mogłaś, tak gardząc prawych serc klejnotem,
Suknię z lnu dziewiczego chcieć pokalać błotem.
O! nie mogłaś tak cisnąć w tę złotą obrożę
Wszystko co piękne, czyste, i święte, i Boże.
Nie, nie skłamałaś sercu, które cię widziało
Tak dziewiczo jaśniącą, tak anielsko białą,
Iż cię sądziło tutaj w uniesieniu błogiém
Odblaskiem świętych istot, co promienią z Bogiem.

Julia (z goryczą).

Wy tak zawsze... anioła szukając w kobiecie,
Nigdy w prawdziwém świetle widzieć jéj nie chcecie:
Mgnienie was rozogniło i mgnienie was ziębi;
Im ją wznieśliście wyżéj, tém strącacie głębiéj.
Czy pana Gelda kiedy zostanę ja żoną,
Nie wiem; lecz to w téj chwili jest wieścią zmyśloną,
Bez zasady, jak w świecie obiega ich tyle.

Karol.

O pani!

Julia.

Racz pan jeszcze wysłuchać mnie chwilę.
Pan mówisz, że mnie kochasz; pragnę wierzyć szczerze,
Chociaż nigdy uczucia słowami nie mierzę,
Choć sercu w taką miłość ufać się nie godzi,
Którą lada szał roztlił, lada rozmysł chłodzi.
Bo gdybyś kochał, czyliż miałbyś tyle siły,
By w tych stosunkach, które między nami były,
Tak oddalone sercem, tak niespojne duchem,
Na chwilę się nie zdradzić słowem, gestem, ruchem,
Byś mógł do téj oziębłéj naginać się roli,
I każde bicie serca mierzyć cyrklem woli?

Karol.

Julio!...

Julia.

Kiedy wstępując w świat dla siebie nowy,
Biedna kobieta wpadnie w ten obłęd surowy

Uczuć miłosnych, kiedy zgubną siłą pchnięta,
Sama wdzieje na siebie te błyszczące pęta:
O! wówczas, żadna wstrzymać niezdolna jéj siła!
Wszystko to, co kochała, szanowała, czciła,
Całą nadzieję w życiu, całą świętość w wierze
Na ołtarz téj miłości ona szle w ofierze.
Wówczas jaką jest, taką oddaje się cała,
I wszystko w niéj dla tego, co go pokochała.
Taka miłość kobiety... ale pragnie za to,
Żeby on się jéj równą odwdzięczył zapłatą,
Ażeby się nie wstydząc czucia, co w nim płonie,
Przyszedł do niéj, i bratnie podawszy jéj dłonie,
Połączył z nią swe kroki wśród świata bezdroży,
W serc zgodzie, w zlaniu duchów, w jednéj myśli Bożéj.
Taką to my kobiety miłość sobie roim.
Teraz, czyś mnie tak kochał, sam bądź sędzią swoim...

(Pozostaje tak chwilę, patrząc na Karola, który ze spuszczoną głową stoi przed nią, — i wychodzi).

SCENA VII.

Karol sam, późniéj **Adam.**

Karol (wyciągając ręce za odchodzącą).

Julio!... Odeszła... jakiż w jéj spojrzeniu zapał!
Tak, ona wie co miłość...

(Stoi przez chwilę zamyślony.)

Adam (wpadając szybko na scenę).

Przecieżem cię złapał!

Karol.

Cóż chcesz?

Adam (ocierając czoło).

Co tam za upał! zmokłem aż do nitki.

Karol.

I cóż mnie to obchodzi?

Adam.

Egoisto brzydki,
Wstydź się, przytłum raz w sobie ten instynkt zwierzęcy,
Cierp z nami.

Karol.

Jeśli nie masz mówić mi nic więcéj,
To wybacz, że odejdę.

(Chce wyjść.)

Adam (przytrzymując go).

A zmiłuj się... chwilę!
Ja się ciebie dziś w wieczór naszukałem tyle.

Karol.

Z powodu?

Adam (uroczyście).

Zaufaniem cię wielkiém zaszczycę,
Pragnę ci odkryć serca mego tajemnicę.

Karol.

Nie ciekawym.

Adam (patetycznie).

Kocham się.

Karol.

A kochaj się zdrowo!

(Chce znów odejść, Adam zatrzymuje go.)

Adam (j. w.).

O przyjaźni! czyż marne jesteś tylko słowo!

Karol (wzruszając ramionami).

Więc mów.

(Przez cały czas następującéj rozmowy Karol niecierpliwi się i pragnie się czémprędzéj wyswobodzić.)

Adam.

Kocham się!

Karol.

I cóż?

Adam.

Kocham się... w kobiecie!

Karol.

Byłbym nie zgadł.

Adam.

Wiem, że wy z takich żartujecie
Uczuć; że w was, miast serca, mięso tylko zgoła;
Ale ja kocham! kocham kobietę anioła!

Karol.

No, to już w dwóch się kochasz.

Adam.

O, nie żartuj ze mną!
Umrę, jeśli mi ona nie będzie wzajemną.

Karol.

Zdobądź sobie wzajemność.

Adam.

Jakąż obrać drogę
Do tego? czyż jéj wyznać moją miłość mogę?

Karol.

Czy ja wiem?

Adam.

Wysnuć przed nią serca mego tętna?
Ona dotąd tak zimna... taka obojętna.

Karol.

To się jéj oświadcz.

Adam.

Tak jest. Chociaż z drugiéj strony,
Czyż poeta ma prawo szukać sobie żony?
Czy mu troski domowéj prozy nie zabiorą
Natchnienia, co ludzkości miało być podporą?

Karol.

To się jéj nie oświadczaj.

Adam.

Tak jest. Chociaż znowu,
Wiem, że ona hołduje duchowemu słowu,
I do téj wielkiéj pracy łącząc się z zapałem,
Stanie się najszczytniejszym dla mnie ideałem.

Karol.

Bierz ją.

Adam.

Poetę stworzył Bóg do wyższych celi:
Jeśli myśl jego w ziemski ideał się wcieli,
Jeżeli w rzeczywistość zmienią się nadzieje,
To talent się rozproszy, natchnienie zmarnieje.

Karol.

W takim razie daj pokój.

Adam.

Z obu stron jednako
Niebezpiecznie... No mówże, dajże radę jaką!

Karol.

Moja rada: rób jak chcesz.
(Chce odejść.)

Adam (zatrzymując go).

To mi wzór przyjaciół!
Jak się w obojętności swojéj raz już zaciął,
Choćbym konał na miejscu, ręki mi nie poda.
Chyba w twych żyłach płynie nie krew, ale woda!

Karol (zniecierpliwiony).

Posłuchaj, niech sens zdrowy choć raz ci się wszczepi
Do mózgu; bo ja ciebie, mój drogi, znam lepiéj,
Niźli ty sam: w twéj dziwnéj do miłości wenie
Ileś razy już bratku kochał się szalenie,
I pielęgnując w sobie czucia w rozpacz żyzne,
Rąbał się, dusił, topił, zażywał truciznę?
Serce, bratku, to nie jest zajazd, gdzie na dobie
Każda może z kolei zająć lokal sobie
I odjeżdżać, dla innych robiąc miejsce gości.
Kto się kochał sto razy, ten nie zna miłości.
Więc choćbyś najgorętsze robił mi wywody,
Wiem, że z tych uczuć żadnéj nie będziesz miał szkody,
I że nie umrzesz nigdy od miłosnéj kolki.
Bądź zdrów!

(Chce wybiedz szybko, ale we drzwiach spotyka się z Geldem, który go zatrzymuje.)

Geld.

Gdzież to?

Karol.

A... grają polkę, więc do polki.
(Wybiega.)

SCENA VIII.

Geld (patrząc za odchodzącym).

Waryat nie człowiek.

Adam (do siebie).

Gadać co chcą sobie mogą,
A ja się jéj oświadczę zawsze swoją drogą:
Tym sposobem najlepiéj rzecz całą wyjaśnię.

Geld (odwracając się do niego).

A... pan Adam... ja tutaj pana szukam właśnie.

Adam.

Co takiego pan każe?

Geld
(biorąc go pod rękę i przechadzając się z nim po pokoju).

E, drobnostka mała:
Jakże się dziś muzyka panu podobała?

Adam.

Bardzo.

Geld.

A pani Lara?

Adam.

Ma ogromną werwę
W śpiewie.

Geld (przyświadczając).

Ogromną. A Fuchs?

Adam.

Gra jakby sam Serwe.

Geld.

I wszak dobrze się bawią?

Adam.

Dobrze i przyjemnie.
(Na stronie:)
Co ten znów z pytaniami chce swemi odemnie?

Geld (z miną zadowoloną).

To w dobrém towarzystwie czas tak miło zlata.
Jednak się podobała najlepiéj kantata?

Adam (starając się uwolnić).

Znakomicie.

Geld (przytrzymując go).

Bo to rzecz całkowicie nowa,
A najbardziéj chwalili wszyscy pańskie słowa.

Adam.

Ale gdzież!

Geld.

Owszem, mówię ze szczerością całą.
Pan musiał na to czasu poświęcić niemało.

Adam.

Parę godzin.

Geld.

Do wierszy pańska łatwość znana;
Jednak ten czas jest zawsze uszczerbkiem dla pana.

Adam.

Dla czego?

Geld.

Boś pan obcą zajmował się pracą;
A wszak za takie rzeczy zawsze panom płacą?

Adam.

Mówiłem, że to czasu wzięło mi niewiele,
I któżby tam chciał liczyć taką bagatelę?

Geld (sentencyonalnie).

Owszem, ekonomiczna uczy nas zasada,
Że dobra praca, kiedy zysk jéj odpowiada,
I każdy wziąć zapłatę winien stosunkową,
Czy to sprzedaje wiersze, czy mączkę cukrową.
(Wyjmuje z kieszeni małą paczkę:)
Dla tego gdy stosowną wybrałem tu porę...
(Chce wcisnąć Adamowi paczkę do ręki.)

Adam (odsuwając paczkę).

Wybacz pan, ale żadnéj zapłaty nie biorę.

Geld (podając mu znowu paczkę).

Ale to tysiąc złotych, niech się pan przekona.

Adam (zniecierpliwiony).

Mówiłem, że nie wezmę i rzecz już skończona.
Tysiąc złotych czy groszy, to mi wszystko jedno.

Geld.

Może ta summa jeszcze nie jest odpowiedną?
Mogę dodać.

Adam (prawie z gniewem).

Raz proszę ukończyć te żarty.

Geld.

No... no... już nic nie mówię, gdyś pan tak uparty;
Wszakże chciałem w najlepszéj dogodzić mu wierze!
Jednak proszę mi wyznać bez gniewu, tak, szczerze,
Czemu nie chcesz odemnie przyjąć téj zapłaty?
Wszak wiem to z pewnych źródeł, żeś pan niebogaty.

Adam.

Bo chcę z majątkowego biorąc miarę stanu,
Byś pan mnie został dłużnym, a nie zaś ja panu,
Bo mnie ten pieniądz pański tylko upokarza.

Geld.

A dla czego zapłatę wziąłbyś od księgarza?

Adam.

Bo z księgarzem jak z kupcem chcę liczyć na zyski,
Z panem zaś mnie stosunek łączy towarzyski,
Więc nie chcę, byś pan wyżéj w czém stanął odemnie.
(Widząc, że Geld przypatruje mu się z miną zadziwioną:)
Ale jabym to panu tłómaczył daremnie,
A więc nie będę próżnych rozpraw rozpoczynał.

Geld.

I pan nie chcesz?

Adam (stanowczo).

Nie, nie chcę.

Geld (odchodząc).

Wielki oryginał!

SCENA IX.

Adam (sam).

Zapłatę! ja mam kupczyć mym wieszczym talentem!
Nędzny worek napchany złotem oberzniętém,
Co wszystko na swój pieniądz mierzy i ocenia!
Tak... kupuj... ale tylko co jest do kupienia.
Jeszczem mu wypowiedział prawd ostrych zbyt mało.
(Po chwili namysłu:)
Jednak te tysiąc złotych dyableby się zdało!...
E... na co się zda liczyć zysk marny i głupi?
(Uderzając ręką w stół:)
Pieniądz będzie nie będzie, a Geld mnie nie kupi.

Niech zna co to poety serce, nieskalane
Żądzą zysku.

SCENA X.

Adam, Julia.

Julia (wchodzi powoli i ogląda się naokoło).

Myślałam, że tu go zastanę.

Adam (spostrzegając Julię).

Julia!

Julia.

Przepraszam pana, przeszkadzam widocznie;
Pan robił jakąś odę, niechaj pan rozpocznie
Na nowo, ja odchodzę.

Adam (wyciągając ku niéj ręce).

O wstrzymaj twe kroki!

Julia.

To nowa zwrotka.

Adam.

Smutek toczy mnie głęboki,
Dzika rozpacz osiadła w sercu mojém na dnie,
Zwątpienie mózg wysusza.

Julia.

Bardzo, bardzo ładnie,
Ale ja muszę odejść.

(Chce odejść.)

Adam (patetycznie).

Chwile szybko biegą,
Zatrzymaj się lub umrę!

Julia.

No, to co innego.
(Wraca na scenę.)

Adam (deklamacyjnie).

Jako Arab od słońca opalony blasków
Szuka drogi w pustyni w pośród morza piasków,
I jako punkt wybawczy spostrzega z daleka
Oazę, co nań z chłodem i wonnością czeka,
Więc ku niéj z dala rękę wyciąga zbolałą,
Wtórując głuchym jękiem...

Julia (patrząc na niego z zadziwieniem).

Co się panu stało?

Adam.

Albo jako rozbitek pośród morskiéj fali,
Gdy głód toczy wnętrzności, pierś pragnienie pali,
Kiedy wszelka nadzieja zbawienia wygasła,
Czeka już ostatniego tylko śmierci hasła,
A gdy ta nie nadchodzi choć jest upragnioną,
Już ma ostrém żelazem przeszyć własne łono—
I nagle wśród mgły rannéj, co słońce rozstrzela,
Spostrzega brzeg jaśniący odblaskiem wesela,
I odwraca od piersi zabójcze żelazo...

Julia (coraz bardziéj zadziwiona).

Co to jest?

Adam.

Tyś mym brzegiem, tyś moją oazą!

Julia.

Bardzo dziękuję panu, żeś pan hojną dłonią
Raczył mnie uzielenić i osypać wonią,
Ale jednak...

Adam (coraz bardziéj zapalając się).

O pani! gdybyś ty poznała
Ten żar nieugaszony, co w mych piersiach pała,
Co mi głowę szalonym ogarnia zawrotem!
Ja cię kocham! tak kocham! uwielbiam!!...

Julia (spokojnie).

Wiem o tém.

Adam (z największém zadziwieniem).

Jakto?

Julia (z uśmiechem).

Wszak panu znana domyślność kobieca,
Że każda z nas odgadnie uczucia, co wznieca...
A zresztą pan tę miłość, jak twierdzisz, szaloną,
Czyż pokrywałeś kiedy Izydy zasłoną?
Łatwoby obojętni nawet ją poznali
Po spojrzeniach, westchnieniach, wierszach i tam daléj.

Adam.

Pani mówisz tak chłodno!

Julia (zmieniając ton mowy).

To dla przekonania,
Żem ja nie zasłużyła na tyle kochania,
Że mnie w zbyt poetyczne przyodziałeś farby,
I że marnujesz ze mną serca twego skarby.

Adam (zdekoncertowany).

Lecz przecię.

Julia.

Wdzięczną panu jestem nieskończenie,
I szczerość uczuć twoich jak należy cenię.
Wiem, że twe serce pełne życia i zapału,
Zawsze musi dla siebie szukać ideału...
Lecz wierzaj mi, pozostań z złudzeniami temi
I nie zniżaj polotu twych myśli ku ziemi.

Adam.

Czemuż?

Julia.

Bo w tych złudzeniach, co cię niepokoją,
Widzę właśnie twój talent, widzę przyszłość twoją.
Jeszcześ pan bardzo młody, jeszcze w twojém łonie
Pierwszy ogień młodzieńczy iskrzy się i płonie,
I płomieniami swemi ogarniając ducha,
Im go bardziéj chcesz stłumić, tém silniéj wybucha.

Adam (zamyślony).

Tak... może...

Julia.

O! wierzaj mi, nie czas, nie czas jeszcze,
Byś twoje lat dwadzieścia, twoje myśli wieszcze
I zapał, który z ciebie promieniami tryska,
Chciał w prozie domowego zakopać ogniska,
Coby swą zwyczajnością nużącą a marną
Wysuszyło w twéj duszy czystych natchnień ziarno.

Adam.

Poeta walką żyje.

Julia.

Nie taka, niestety,
Walka czystym dążeniom przystoi poety!
Bóg, co mu duszę oblókł w ten ustrój bogaty,
W inne, nieziemskie jemu kazał dążyć światy.
I przeczuwać natchnieniem, i kochać duchowo
Kraj Boży, co Chrystusa ma nam ziścić słowo.
Taka droga poety, taki cel wytknięty
Jest przed nim. W piersiach swoich gromadź ogień święty,
Wznieś ducha poświęceniem po nad ziemskie ciało,
Nie marę, nie kobietę, kochaj ludzkość całą,
Miej prawą cześć dla cnoty, przekleństwo dla zbrodni,
Żyj prawdą, a Bóg prawdę przez ciebie rozpłodni.

Adam (padając na kolana).

Julio! słysząc cię, zapał ogarnia mnie niemy:
Ty znasz! ty wiesz! ty czujesz!

SCENA XI.

Ciż sami, Geld prowadząc za sobą **Prezesa i Prezesową.**

Geld.

Tutaj ją znajdziemy.

(Spostrzegając Adama na kolanach przed Julią, cofa się z zadziwieniem.)

Pan Adam!

Prezes.

Cóż to znaczy?

Julia (spokojnie).

Że jechać już pora.

Adam

(powstając z kolan, mówi jakby nie zważał na otaczające go osoby).

Tak... gdy ludzkość na obłęd śmiertelny jest chora,
Bóg szle swego anioła na ten ziemski padół.

(Wybiega, za nim wychodzą Prezes, Prezesowa i Julia.)

Geld

(pozostawszy sam, pociera się ręką po czole i mówi z żałośliwą miną).

Akcye mego małżeństwa dyable spadły na dół.

A K T III.

(Mieszkanie Prezesa.)

SCENA I.

Prezes, Prezesowa, Franciszek.

(Prezes siedzi z prawéj strony i pali fajkę. Prezesowa z lewéj z piórem w ręku nad papierami. Franciszek stoi przy drzwiach.)

Prezes (przez pół odwrócony do Franciszka mówi gniewnie).

Słuchaj, i niech ci się to dobrze w głowę wpaja:
Ja nie chcę mieć magnata, ja chcę mieć lokaja;
Nie lubię darmozjadów ani bałamutów;
Kiedyś graf, to się nie godź do czyszczenia butów.
Rozumiesz?

Franciszek.

A rozumiem, proszę jaśnie pana.

Prezes.

Dziwnie to ta hołota teraz rozpasana.
Naprzykład, gdy onegdaj z resursy wracałem,

Wyście tam majstrowali coś obaj z Michałem,
Bo gdym wchodził, słyszałem jak brzękały grosze.

Franciszek.

Graliśmy jaśnie panie w albe cwelbe.

Prezes.

Proszę!
W albe cwelbe!... patrzaj go! zwaryował wyraźnie,
A czy na albe cwelbe masz pieniądze błaźnie?
Wielcy ludzie!... wam lepiéj pilnować roboty.
Albo to.... patrz Emilciu.... ma łańcuszek złoty;
Dalibóg im się teraz przewróciło w głowie,
Wszyscy są milionowi, jak widzę, panowie.
Idź sobie!

(Franciszek wychodzi.)

Dziwne dzisiaj pomieszanie stanów:
Wkrótce już nie odróżnisz lokajów od panów.
Oj zbytki, straszne zbytki, życie nad stan wszędzie!

Prezesowa (kreśląc na papierze).

Tak... dobrze ... od ulicy dziesięć okien będzie.

Prezes.

Gdzie ma być dziesięć okien?

Prezesowa (kreśląc daléj).

A wchód z prawéj strony.

Prezes.

Co ty tam znów majstrujesz?

Prezesowa.

Plan naszéj ochrony.

Prezes (wzruszając ramionami).

A zkąd fundusz?

Prezesowa.

Z biletów, co na koncert kupią.

Prezes.

Chciéjże już raz dać pokój z tą ochroną głupią.
Kto słyszał czas marnować nad taką robotą!
My tutaj mamy w domu lepszy koncert oto.

Prezesowa.

I cóż?

Prezes.

Że nie ma kupca na akcye cukrowe.

Prezesowa.

A to wy sobie z Geldem łamcie nad tém głowę,
Mnie nic do tego.

Prezes.

Tobie nic do tego... pewnie.

(Uderzając ręką w stół:)

Ale ja nie wykuję pieniędzy w tém drewnie,
Z próżnego nie naleję, a i długów mnóztwo.
Wszakże wiesz, co nam teraz zagraża: ubóztwo,
Nędza!...

Prezesowa.

Czyliż te długi tak bardzo naglące?

Prezes.

Przed kilku dniami znowu rubli trzy tysiące
Wziąłem od Gelda—przecięż to nie jest podarek —
Żeby spłacić rachunki kupców i modniarek.

Prezesowa.

I to coś przegrał w karty.

Prezes.

Koniec końców, chyba
Na śmierć się rozchoruję.

Prezesowa.

Będziesz zdrów jak ryba,
Tylko ojcowskiéj władzy nad twą córką użyj,
By nie robiła z Geldem ceregieli dłużéj.

Prezes.

Widzisz, na co mi wyszły dziś twoje wydatki!

Prezesowa (z niecierpliwością).

Wiesz mój drogi, na prawdę jesteś człowiek rzadki:
Tobie zawsze, we wszystkiém winni tylko drudzy,
Sam zbroisz, a do głowy wypuszczasz to cudzéj.
Czyś się z twemi czynami zwierzał kiedy komu?
Kto prowadził rachunki, kto był panem domu?

Prezes (zwieszając głowę).

Nie ja.

Prezesowa (ironicznie).

Czy tak? Jeżeli nie ty, to tém gorzéj,
Bo tak mężom przykazał sąd ludzki i Boży;
Ale na to nie trzeba waszym zwykłym torem
Ziewać z rana nad fajką, grać w karty wieczorem,
I jedynym zasobem w umysłowém świetle,
Znać kalendarz, rachunki kupców i speiscetle.
Lecz po co groch na ścianę rzucać nadaremnie?

Prezes.

Jakto? powód upadku ty chcesz widzieć we mnie?

Prezesowa.

A w kimże? kto żarządzał ogólnym majątkiem?
Sam powiedz, jak się mogłeś minąć tak z rozsądkiem,
I być tak lekkomyślnym, ślepym tak dalece,
By nasze summy zmieścić na téj hypotece?
A dziś, gdy własną winą z majątku wyzuty,
Kiedy my mamy prawo robić ci wyrzuty,
Boś twéj żony i córki cały strwonił zasób,
Śmiesz mnie winić, mnie żonę, ty winny w dwójnasób?

Prezes.

Julisia nie wie jeszcze.

Prezesowa.

Właśnie też należy

Objaśnić ją o wszystkiém, — niechaj z téj grabieży,
Co cały nasz majątek pochłonęła marnie,
Przez nią się coś napowrót do domu przygarnie.
Kiedy się znalazł taki Geld, jak w korcu maku,
Któremu z biedną panną żenić się do smaku,
Powiedz jéj, niech mu dłużéj przystępu nie broni,
Niech sama się panosząc, nas ratuje z toni.

(Wstając:)

Zrób to, bo mnie już ciągłe twe wahanie drażni.
Teraz przyszlę ci córkę, a ty najwyraźniéj
Wyłóż jéj wszystko na stół.

(Wychodzi.)

SCENA II.

Prezes (sam).

To także przyjemnie!
Wszystko złe ja zrobiłem, cała wina we mnie,
A o tych ciągłych swoich zbytkach zapomina.
Tak... prawda... moja wina, moja wielka wina.

(Z rozczuleniem:)

Kiedy mi raz umarła moja Ewcia droga,
Trza było siedzieć cicho za piecem u Boga
I poczciwą swobodę jak należy cenić,
Nie jak wierutny głupiec drugi raz się żenić.
Lecz trudno... późny rozmysł niewart już i grosza;
Gdyś się podjął być grzybem, leź bratku do kosza.

(Siedzi przez chwilę zamyślony.)

SCENA III.

Prezes, Julia.

Julia.

Ojciec chciał ze mną mówić?

Prezes (z powagą).

Zbliż się moje dziecko.
Choć jesteś prezesówną i córką szlachecką,
Tak smutne teraz czasy, że nie zawsze z zyskiem
Można w swém położeniu wytrwać towarzyskiém.
Najważniejszą dziś dźwignią w świecie są pieniądze.
Pan Geld mi się o ciebie oświadczył; a sądzę,
Że trudno stosowniejszą znaleźć partyę będzie:
Chciałbym więc zdania twego zasięgnąć w tym względzie.

Julia.

Znasz już ojcze od dawna przekonanie moje:
Nie zważam na szlachectwo, o herby nie stoję,
Lecz i w siłę pieniędzy tak bardzo nie wierzę,
Nie postępując z wiekiem na równi w téj mierze,—
I mnie ta pana Gelda zaleta największa
Małżeńskiéj z nim przyszłości wcale nie upiększa.

Prezes.

Czyś już komu oddała serce?

Julia.

Któż to mówi?

Nie... a w najgorszym razie nie panu Geldowi,
I przekonania mego z pewnością nie zmienię.

Prezes.

Słuchaj, muszę ci smutne uczynić zwierzenie.
W najgorszém położeniu jestem majątkowém.
Obciążony długami zewsząd, jedném słowem,
Straciłem wszystko.

Julia.

Jakto?

Prezes (rozpaczliwie).

Tak jest, Julciu droga,
Nie mam nic.... nędza!

Julia (zbliżając się do niego i biorąc go za rękę).

Ojcze! miéjże ufność w Boga!
Tyś jeszcze sercem żony i córki bogaty;
A wierzaj mi mój ojcze, majątkowe straty
To najlżejszy krzyż ziemski,—znieśże go wytrwało;
Wszakże trochę majątku mnie jeszcze zostało,
To do ciebie należy, weź sobie.

Prezes.

Niestety!

Julia.

Weź ojcze, weź, uboższa w pieniężne zalety,
Zobaczę kto mnie kocha prawdziwie, sercowo...

Prezes.

Przestań Julisiu, boleść sprawiasz mi twą mową.
Nie wiesz, co serce moje najstraszliwiéj rani.....
I twój majątek także zginął w téj otchłani.

Julia.

Cóż czynić? znajdziem spokój choć w skromniejszym bycie;
Bóg dał, Bóg wziął, będziemy pracować na życie.

Prezes.

Nie czynisz mi wyrzutów?

Julia.

Z jakiéjże przyczyny?
Chciałeś dobrze; żeś stracił, to nie z twojéj winy.

Prezes (pociągając Julię do siebie).

Tyś jest moją pociechą, tyś mém szczęściem całém!
Julciu, ja ciebie dotąd cenić nie umiałem.
W tobie na nowo byt mój upadły odżywię.
Gdy tamta mnie potępia tak niesprawiedliwie,
Twoje anielskie serce przeczuło, odgadło,
Że na nas bez méj winy to nieszczęście spadło.

Julia.

Tak ojcze, i odwagi czuję w sobie dosyć,
By cierpliwie ubóztwo z tobą razem znosić.

Prezes.

Córko! niechaj ci Nieba prób takich oszczędzą!

Nie znasz tych walk codziennych z troską, głodem, nędzą,
Gdy się ciężką męczarnią każda wlecze chwila,
Kiedy się praca z pod rąk bezsilnych uchyla,
Kiedy łzą każda strawa opłacona licha,
Gdy się krewny wypiera, przyjaciel odpycha...

Julia.

Mój ojcze!

Prezes.

Praca, mówisz, będzie dla nas tarczą
Od nędzy; lecz czy na nią siły nasze starczą?
Czyliż podoła starzec i słaba niewiasta,
Tam gdzie z dniem każdym nowa potrzeba wyrasta,
Gdzie każda chwila nędzy zaciska obrożę?
Konanie im jest dłuższe, tém straszniejsze....

Julia (zakrywając twarz rękoma).

Boże!

Prezes (płaczliwie).

Lecz jeszcze jest nadzieja: nie trać, nie trać ducha!
Jeszcze Bóg miłosierny próśb naszych wysłucha.

Julia (klękając przy nim).

Mój ojcze!

Prezes (tym samym tonem).

Tak, oboje w stałość się uzbroim.
Jest ktoś, co mię w upadku chce powstrzymać moim,

I skuteczną mi pomoc przynosi w ofierze:
On cię kocha Julisiu, on cię kocha szczerze,
On chce, by z nim małżeńskie łączyły cię śluby.
Tak... ty mnie wyratujesz od ostatniéj zguby,
A Bóg litośny hojnie nagrodzi cię za to.
Julisiu, będziesz jeszcze szczęśliwą, bogatą,
Będziesz nią.... dziecię moje, pójdź w moje objęcia.

(Przyciskając ją do serca — po chwilowym przestanku:)

No powiedz, czyli Gelda mam przyjąć za zięcia?

Julia (łkając).

Ojcze, zrób co chcesz, jak chcesz.

Prezes.

Tak, masz słuszność, zrobię,
Jak mi serce dyktuje i miłość ku tobie.

Franciszek (meldując).

Pan Geld.

Julia (powstając nagle z kolan).

O! nie w téj chwili... niech się uspokoję
Trochę; ty go sam przyjmij.

(Wychodzi, mówiąc z płaczem:)

Biedne serce moje!

Prezes (do Franciszka).

Prosić.

(Franciszek wychodzi).

SCENA IV.

Prezes — Geld.

Geld (wchodząc pokazuje Prezesowi godzinę na wydobytym zegarku).

Czym punktualny? no.... przyznaj....

Prezes.

Wzorowo.

Geld.

Widzisz, tak zawsze u mnie, jedno tylko słowo.

(Chowając do kieszeni zegarek:)

To chronometr, umyślnie kupiłem w Genewie.

Prezes (pokazując mu krzesło).

Siadajże.

Geld (siadając).

Bakon mówi: człowiek nigdy nie wie,
Co na niego spaść może, czy licho, czy cetno,
I najlepsze rachuby głupstwem się rozetną,
Tak i akcye, raz lepiéj, a raz gorzéj stoją.

Prezes.

Bo co?

Geld.

Wiesz, że poślubić chciałem córkę twoją,

Nawet życzyłem sobie tego sercem całém,
Bo interes ten pilnie ze wszech stron zbadałem,
I poznawszy dokładnie, sądziłem, że ziści
Dla mnie i dla was bardzo intratne korzyści;
Lecz głupstwo zaszło i wnet cała korzyść owa
Spada, jak z wojną renta cztero-procentowa.

Prezes.

Przyznam się, nie rozumiem.

Geld.

Jednak mówię jasno.
Przedewszystkiém na oku mam tu korzyść własną.
Sądziłem, że w tym związku mogę być spokojny;
Dziś zmienił się stan rzeczy i lękam się wojny.

Prezes (z goryczą).

Już wiem, co cię zastraszyć mogło tak dalece:
Musiałeś się wywiedzieć pewno w hypotece
O tych summach....

Geld (z gestem lekceważącym).

E! głupstwo, chociaż swoją drogą
Dawno wiedziałem o tém; ale co mnie mogą
Obchodzić te drobnostki!

Prezes.

Lecz....

Geld.

Głupstwo, powiadam;
Mnie tu oto najbardziéj zastraszył pan Adam.

Prezes.

Pan Adam?

Geld.

Tak, ja lubię przewidywać z dala,
I jak ognia u żony lękam się rywala.

Prezes.

Jeśli to ma być twojéj obawy przedmiotem,
To przyznam się na prawdę szkoda mówić o tém.
Bo jakeś mógł pomyśleć, że ten wiercipięta
Podobał się Julisi? Nie bój się: dziewczęta
Umieją sobie zdawać zdrowy sąd o wszystkiém.
A którażby się mogła zająć takim chłystkiem,
Co nie ma jeszcze stanu ani utrzymania
I co chwila ku innéj serce swoje skłania?
Wstydź się, czy człowiek jak ty smarkaczów się lęka?
Że ukląkł wczoraj przed nią.... a niech sobie klęka!
Julisia mi to w sposób wyznała najszczerszy,
Że jéj ani się przyśnił ten fabrykant wierszy.

Geld.

Może masz słuszność, tak jest, to półgłówka kawał.
Czy wiesz, żem ja mu wczoraj tysiąc złotych dawał
Za tę głupią w kantacie robotę rymową,
I odmówił, stanowczo, tak, daję ci słowo.
Jeszcze jak! „My, powiada, nie dla zysku piszem."
Masz słuszność, to jest hołysz i będzie hołyszem
Przez całe swoje życie. Tak jest, zamrze w nędzy,

Bo temu, który nie zna wartości pieniędzy,
Zawsze brakować będzie w głowie jednéj klepki.
Więc ci już więcéj o to nie robię przyczepki,
I ponawiam ofiarę co do córki twojéj.
Powiedz mi tedy szczerze, jak interes stoi?

Prezes.

Bardzo dobrze. Julisię badałem już o to,
I ona na ten związek przystaje z ochotą.

Geld (uradowany).

No, kiedy tak, to brawo! wszystko pójdzie zgodnie,
Pojutrze zaręczyny, ślub za trzy tygodnie.
Przez ten czas zaprowadzę ład w mojéj chałupie,
Dam obicia londyńskie, meble nowe kupię,
Cytrynami zasadzę przedpokój w kształt lasku
I będzie sobie mieszkać jak święta w obrazku.

(Zacierając ręce:)

To mi rzecz!... cóż prezesie?

Prezes.

Ależ miéj na względzie....

Geld (przerywając mu).

Że się twą sprawą zająć także trzeba będzie.
Właśnie myślałem o tém; by działać skutecznie,
Trzeba twoje rachunki dziś przejrzeć koniecznie,
Dobrze rozważyć wszystko w świetle należytém,
Zobaczyć jak tam debet kwadruje z kredytem,

A potém sobie pomoc udzielić wzajemną.
Gdzie je masz?

Prezes.

W mym pokoju.

Geld (powstając i biorąc go pod rękę).

A no, to pójdź ze mną.

(Wychodzą.)

SCENA V.

Julia (sama).

Julia.

(Wychodzi powoli ze swego pokoju, i siadając na krześle opuszczoném przez prezesa, opiera twarz na dłoni.)

Już się stało... ten kielich do dna spełnić muszę!
Jakiż ból pali serce, żal przygniata duszę!
Więc tym związkiem marzenia najskrytsze uwieńczę!...
Gdzieżeście się podziały biedne sny młodzieńcze!...
Poświęcenie!... to słowo w sercu echo budzi
Zmartwychwstania dla Boga, cierpienia dla ludzi.

(Pozostaje chwilę w zamyśleniu.)

SCENA VI.

Julia, Karol.

Karol (wbiegając szybko).

Julio

Julia (z zadziwieniem i przestrachem).

Pan tutaj?

Karol.

Julio! nie, dłużéj nie mogę
Taić w méj duszy boleść, niepewność i trwogę.
Chciałaś, i serce moje do głębi zbadałem,
Kocham cię z całą wiarą, z poświęceniem całém,
Kocham cię tą miłością, co jest sercu zbroją
Od grzesznéj myśli ziemskiéj.... Julio chcesz być moją?

Julia (spuszczając głowę na pierś).

Już za późno.

Karol.

O! nie mów, nie mów tego słowa!
Tyś tutaj, ja cię kocham, przyszłość w mgle się chowa,
Lecz Bóg nagradza miłość szczerą i wytrwałą
Tych, którzy w nim swą ufność położyli całą.

Julia.

Ojciec mój stracił wszystko.

Karol.

Wiedziałem już o tém,
Ale czyż mnie twój posag ciągnął swojém złotem?...
Ciebie chcę, ciebie czystą, marzącą, dziewiczą,
Ciebie z promiennym duchem, z anielską słodyczą.

Julia.

Tak, ale ja innego mam już zostać żoną.
Ojciec chciał.

Karol.

Więc to było wieścią nie zmyśloną?
Więc ty Julio, ty, zawrzesz te ohydne śluby,
Poświęcisz się dla nędznéj światowéj rachuby?
I ojciec, własny ojciec ku temu cię skłania,
Żeby nie zniżyć stopy swego utrzymania,
By błyszczeć jeszcze w świecie zięciowską wystawą?
Ale czyż cię obdarzać ten pan Geld ma prawo?
Czyliż on ciebie kocha i pojmuje dosyć,
Abyś mogła od niego poświęcenie znosić?
Czyliż możesz dozwolić, by ci niósł w ofierze
Dar, który w sercu źródła swojego nie bierze?
O nie! Bóg, co w swych rękach losy nasze waży,
Nie chciał cię zrobić celem kupna i sprzedaży.
Miłością mnie ku tobie natchnął niedaremnie:
Ty możesz poświęcenie przyjąć.... lecz ode mnie.

Julia

(powstając z miejsca i podając rękę Karolowi).

Bracie!... wiem, że w twych słowach dusza twoja cała,
Wierzę twojéj miłości, dzielićbym ją chciała,
Ale nas nieprzebyta rozłącza już tama.
Nie chcę, bym sobie kiedyś wyrzucała sama,
Żem mogła przyjąć, na głos serca mego głucha,
Dar z twéj pracy i życia, z krwi twojéj i ducha.

Gdybyś pod wpływem uczuć, co w twém sercu płoną,
Brał mnie biedną, rodziną biedną obciążoną,
W pośród trosk, których Nieba ubogim nie szczędzą,
W starciu codziennych potrzeb, w walce z ciągłą nędzą:
Czybyś kiedy nie uczuł żalu w sercu twojém
Za straconą przyszłością, szczęściem i pokojem?
A ja....

(płacząc:)

ja szczęścia mego w tobie pozbawiona,
Ja, zwaliwszy ten ciężar na twoje ramiona,
Widząc, że się twa siła pod nim nie ostoi,
Umarłabym, miłości nie chcąc przeżyć twojéj.

Karol.

Julio!

Julia.

Tamtemu równo ja czy każda inna.
Ten człowiek mnie nie kocha, jam mu nic niewinna,
Ojciec, któremu starość pochyla już ciało,
Znajdzie co mu przez zwyczaj potrzebą się stało,
Wszystko to, co mu w życiu koniecznem i drogiém,
A mnie.....

(z płaczem:)

mnie wszystko jedno, byle dożyć z Bogiem.

Karol.

Przez litość!

Julia (odpychając go ręką).

Odejdź, nie chcę, by cię tu widziano;
Niech w głębi serca twego me słowa zostaną,
Odtąd jestem dla ciebie obcą w obec świata.

Karol (porywając ją za rękę).

Julio droga!

Julia (z krzykiem pomimowolnym).

Kocham cię!... tak... kocham...

(po chwili odpychając go od siebie:)

jak brata.

(Zakrywa twarz chustką i upada na krzesło, dając ręką znak Karolowi, aby wyszedł. Karol wychodzi.)

SCENA VII.

Julia, Geld.

Geld

(mówi we drzwiach odwrócony do pokoju prezesa).

Te kwity uporządkuj, resztę zaś sam biorę
I spłacę.

(Odwraca się do sceny i spostrzega Julię.)

Panna Julia! właśnie w samą porę.

(Zbliża się do Julii z grzecznym ukłonem.)

Wierzaj mi pani, serce z chluby we mnie rośnie,
Że mogę własnoręcznie...

(poprawiając się:)

to jest, własnogłośnie
Oświadczyć.... to jest złożyć najkorniejsze dzięki...

Julia (powstając z miejsca).

Mówił mi ojciec, że pan żądałeś méj ręki,
Lecz zanim słów ostatnia nastąpi zamiana,
Chcę o chwilę rozmowy prosić jeszcze pana.

(Pokazuje mu krzesło i sama siada.)

Geld (siadając).

Słucham.

Julia.

O ile z ojca domyślam się mowy,
Wiadomy panu pewnie nasz stan majątkowy,
I nie wątpię, że panu wyłuszczono szczerze
Wszystkie ciężary, jakie pan na siebie bierze.

Geld.

Wiem, mam nawet spis cały długów....

Julia.

O to mniejsza;
Wiesz pan zapewne także, iż rzecz najważniejsza
W małżeństwie, gdy się zgodzą z sobą charaktery
I łączą w jeden akkord prawdziwy i szczery.

Otoż ja przedewszystkiém mam zrobić zwierzenie
Panu, że choć przymioty jego bardzo cenię,
I choć jestem w raz danéj obietnicy stała,
Nie kocham pana, wątpię, bym kiedy kochała.

Geld.

Owszem, mnie pani wielce uciesza tą mową.
Miłość, jak mówi Szyller, jest rzeczą zbytkową,
Ona tylko stosunki rozjątrza i draźni;
Czyliż nie lepiéj szczeréj zaufać przyjaźni,
Niż téj miłości, która troski z sobą niesie
I zawsze zrządza szkody w każdym interesie?
Po cóż nam krwawić serca, potém goić rany?
W małżeństwie przedewszystkiém spokój pożądany,
I gdyby tylko każdy chciał być mego zdania,
Mniéjby było daleko domów obłąkania.

Julia (trochę ironicznie).

Tegom się spodziewała po pańskim rozsądku.

(Geld kłania się.)

To mnie zachęca, żebym w dalszych wyznań wątku
Zwierzyła mu, że jestem dawno już i stale
Kochana przez innego....

Geld (przerywając jéj).

Wiem, wiem doskonale!
Już mi prezes dokładnie wszystko opowiedział.
Lecz od niego do pani bardzo wielki przedział;
To człowiek nierozsądny, po obłokach lata,
Nie umiałby odróżnić grosza od dukata.

Julia.

Kto?

Geld.

Pan Adam. Wie pani, on był tak dziecinny,
Że.....

Julia.

Ja nie o nim mówię.

Geld (z zadziwieniem).

To jest i ktoś inny?

Julia.

Tak... inny, co uczuciem pokochał mię stałém;
Więc chciałam...

Geld (powstając z miejsca).

A, przepraszam... tego nie wiedziałem,
I ten ktoś postać rzeczy całkowicie zmienia.

SCENA VIII.

Ciż sami, Prezes, później **Prezesowa.**

Geld (odwracając się do wchodzącego Prezesa).

Prezesie, tu rzecz jeszcze bardzo do myślenia.
W takim związku zbyt łatwo nieufność się nieci,
Bo tam między nas dwoje wszedł jeszcze ktoś trzeci.

(Julia wychodzi.)

Prezes.

Lecz...

Geld.

W tym razie nie można już oznaczać granic:
We dwóch współka jest dobra, ale we trzech na nic.
Mnie bardzo podejrzaną ta miłość tak stała,
I....

Prezes.

A gdyby Julisia ciebie pokochała?

Geld.

Ani mnie: szczęście wcale tego nie wymaga.
Miłość to na ród ludzki jest egipska plaga,
Przez nią appetyt niknie, zdrowie jest zepsutém,
Kto się kocha, ten łatwo może być bankrutem.
Nie chcę, nie chcę miłości do grobowéj deski!
Serce sprzęt niepotrzebny, jak mówi... Malczewski.

Prezesowa (wychodząc ze swego pokoju).

Co się tu znowu dzieje?

Geld.

To mając na względzie,
Bardzo wątpię czy z naszych układów co będzie.
Więc parę dni udzielić racz mi z łaski swojéj
Zwłoki, bo mnie ta miłość dyable niepokoi.

(Wychodzi.)

SCENA IX.

Prezes, Prezesowa, później **Julia.**

Prezesowa (do Prezesa).

Chciéjże mi wytłómaczyć co to wszystko znaczy?

Prezes (idzie do drzwi pokoju Julii i woła).

Julio!

(Julia wchodzi; do Prezesowéj pokazując na Julię:)

Niechaj ci ona rzecz tę wytłómaczy;
Bo ja przyznam się, z wami już straciłem głowę.

Franciszek (anonsując).

Pan Adam.

Prezes.

A, to jeszcze utrapienie nowe!

SCENA X.

Prezes, Prezesowa, Julia, Adam.

Adam (przystrojony uroczyście w czarny frak, białą kamizelkę i białą krawatkę, zbliża się ceremonialnie do Prezesa).

Przychodzę panu tutaj uczynić wyznanie:
Ja kocham córkę pańską.

Prezes (zniecierpliwiony).

Ależ drogi panie,
Wiem o tém najzupełniéj, i ta miłość właśnie....

Adam (uroczyście).

Pozwól pan ja tę sprawę dokładnie wyjaśnię.
Traf, który wszystko w świecie i spaja i kruszy,
Dozwolił, że ta miłość wryta w głębi duszy,
Że to uczucie, którém serce moje żyło,
Nagle przed światem całą wybłysnęło siłą,
I dzisiaj rzeczy taką przybrały już postać,
Że dłużéj nie możemy na téj stopie zostać.
Wiem, że pan w swym majątku poniósł klęskę srogą,
Wiem, że ta, którą kocham, jest teraz ubogą;
Sam mam niewiele, ale przyrzekam najszczerzéj,
Jeśli mi panny Julii rękę pan powierzy,
Że ku temu me wszystkie zwracać będę siły,
By majątkowe straty pana się wróciły,
Choćbym już miał nie pisać nawet większéj treści
Poematów, lecz zwrócić talent do powieści.

Prezes.

Nie chcę pańskich powieści ani poematów.
Tutaj widzę naprawdę cały dom waryatów.
Co ten znów chce ode mnie? to rzecz niesłychana!...

SCENA XI.

Ciż sami, Karol, Geld.

Karol (prowadząc za sobą Gelda).

Chodź pan, to się nie może wyjaśnić bez pana.

(Do Prezesa:)

Pańska sprawa na dobrą przechyla się stronę,
Dom już znalazł nabywcę i summy spłacone.

Prezes.

Któż taki?

Karol (pokazując na Gelda).

Pan Geld.

Geld.

A ja, jeszcze dzisiaj rano,
Widząc, iż cofniętemi te summy zostaną,
Przejrzałem hypotekę, zliczyłem intraty,
I poznawszy, że mogę zrobić to bez straty,
Kupiłem dom, a chociaż przez tę nagłą zmianę
Wszystkie nasze zamiary zostały rozchwiane,
Cieszę się sercem całém, kochany prezesie,
Że mnie zysk a zaś tobie ulgę to przyniesie,
Bo jak słusznie powiedział Homer, czy ktoś inny,
Tak zawsze interesa robić się powinny.

Prezes (do żony i córki).

Więc dobrze, zaraz na was przekaz summ tych zrobię.

Julia (proszącym głosem).

Ojcze! ja ten majątek oddałam już tobie.

Prezes.

A ty?

Julia.

Bądź o mnie, ojcze, spokojny w téj mierze:
Wiem komu przyszłość moją z ufnością powierzę.

(Zbliża się do Karola i bierze go za rękę.)

Tyś do mojego serca umiał znaleźć drogę,
Bądź mym mężem, od ciebie wszystko przyjąć mogę.

Karol.

Julio!

Adam.

On!

Julia.

W sprawach ludzkich Bóg najwięcéj czyni.

Geld.

Dobrze, że tak się stało, jak mówi....

(Przypomina sobie przez chwilę, nareszcie pada na wyraz:)

Mazzini.

POSĄG.

DRAMAT W TRZECH AKTACH.

OSOBY.

CARLO.
PADRE ALDO.
BEPPO.
CINI.
GUIDO.
SALVIATI.
CAPPONI.
PAZZI.
PAOLA.
MASKA.
LISA.
GRISO.
PASQUALE.
BATTISTA.
NICOLO.
PIPPO.
Posłaniec księcia.
Żołnierze. Panowie i panie florenccy. Robotnicy. Goście balowi.

Rzecz dzieje się we Włoszech, w XVI wieku.

A K T I.

SCENA I.

Carlo, Paola.

(Domek w Forni, w okolicach Florencyi. Umeblowanie ubogie. Drzwi w głębi. Drzwi z prawéj i lewéj strony. Z lewéj strony okno.)

(Przed podniesieniem zasłony orkiestra gra przegrywkę staréj pieśni włoskiéj.)

Paola przędzie przy wrzecionie z prawéj strony sceny; z lewéj **Carlo** modeluje figurkę glinianą, na prostym niemalowanym stoliku.

Paola (śpiew).

Więc kiedy razem wstępowali
W miłosny szlak,
On raz jéj przyniósł sznur korali
I mówił tak:
— Ty jesteś jako jasna zorza
Dla duszy méj:
Weź te korale z głębi morza,
Na szyję wdziéj.

Carlo (podnosząc głowę od roboty).

Był Beppo?

Paola.

Nie był.

Carlo.

Widziałem go w lesie
Z rana; miał tu przyjść.

(Poprawia posążek gliniany, który się chyli.)

Ano, trzymajże się!
Bieda z tą gliną! nie podeprzesz, spadnie
Na łeb.

(Poprawia po raz drugi.)

Teraz stój!

(Wstaje z miejsca, zbliża się na chwilę ku Paoli i przypatruje się posążkowi. Do Paoli:)

A co, ładnie?

Paola (spojrzawszy przelotnie na posążek).

Ładnie.

(Śpiewa daléj·)

A ona na to: — Morza fale,
To pokus zdrój;
Jak krew czerwone twe korale,
Kochanku mój.
Ale dla ciebie serce bije,
Więc z wolą twą
Wdzieję korale te na szyje,
Choć przeszły krwią.

Carlo (pracując daléj).

Szczęśliwy! stać go było na korale,
A mnie zaledwie na paciorki oto
Dla ciebie starczy.

Paola.

Nie skarżę się wcale.

Carlo (wesoło).

No, no, i u nas będzie się też złoto
Przelewać.

Paola.

Kiedy?

Carlo.

Zobaczysz... jeżeli
Wróci...

Paola.

Kto?

Carlo.

A ten, cośmy go widzieli
W klasztorze, wiesz... ten... taki żółty, chudy,
Hrabia czy markiz; dał mi cztery skudy
Złotem zadatku, na świętego Jana...
A posąg gotów.

Paola (śpiewa).

Niestałe szczęście na téj ziemi
Miłosnych par;

Jeżeli stanie między niemi
Ten krwawy dar.
Gdy zawodzono nad nią chórem
Żałobny śpiew,
Na szyi pod korali sznurem
Zakrzepła krew.

Carlo.

Widzisz bo kochana
Żono, jak na mnie, to już o to mniejsza,
Jak tam los zechce; mnie dola dzisiejsza
Wystarcza; moje życzenie jedyne
Mieć myśl swobodną, kącik, miękką glinę,
Z któréjbym lepił pomysły, co roją
Się wciąż, a praca byleby nie płonna
Była. Lecz ciebie dała mi Madonna,
Ciebie, najdroższy skarb mój, a więc twoją
Przyszłością głównie tylko się kłopotam.

Paola.

Wiem, że mnie kochasz, i dla tego wolę,
Byśmy tam żyli, gdzie otwarte pole
Dla ciebie. Beppo mi mówił...

Carlo.

E! co tam
Beppo! słowo wiatr. Choć on twoim bratem,
To wierz mi, on się wcale nie zna na tém.

Paola.

Beppo wie dużo.

Carlo.

Dużo mu narosło
Skudów, to prawda, ma dobre rzemiosło.
Odzierać ludzi, to niewielka praca.
Bo rozważ tylko: kto ma silne pięście,
Wzrok dobry, psi węch i do noża szczęście,
Temu, jak księciu, wszystko się opłaca.

Paola.

Nie mów tak: Beppo to człowiek staranny,
On się co tydzień pobożnie spowiada
U Ojca Aldo, i Najświętszéj Panny
Zakupił obraz...

Carlo.

A wiem, dar nielada.
Że się spowiada, to uczciwie czyni,
Boć trzeba grzeszne upokarzać ciało;
Lecz choć go obraz kosztował niemało,
Daleko więcéj dał przechować w skrzyni
Ojcom...

Paola.

Toż jego zarobek.

Carlo.

Nie robię
Mu też zarzutów, ani go chcę prosić
O co: zarobił, niechaj trzyma sobie...
Mnie na tym świecie i bez tego dosyć.

Gdy mgła na górach w świetle się rozpłynie,
A łąka w świeże kwiaty się ustroi,
Jam już szczęśliwy; mnie trzeba jedynie
Powietrza, słońca i miłości twojéj.

Paola.

A czyliż nigdy nie tęskniłeś do tych
Grodów odwiecznych, kędy lud szeroki
Mieszka, do gmachów o sklepieniach złotych,
Do wież, co biją krzyżami w obłoki,
Gdzie wielcy mistrze domy stroją Boże?
Czyliż ci nigdy serce nie zadrgało,
Byś w równi z nimi, lub ponad nich może,
Był blaskiem, siłą, potęgą i chwałą?...

Carlo.

Nie dla mnie cuda te strojne bogato,
Siłby mi brakło na taką robotę;
Ten muł błotnisty, co go w palcach gniotę,
Czy wiesz co on mi odpowiada na to?

Paola.

I cóż?

Carlo.

On mówi: „Nie rzucaj mnie, człecze,
Tu twoje szczęście, tu sumienie twoje.
To życie, co się tak leniwo wlecze,
W tysiące kształtów natchnionych ustroję.
Tutaj spokojnie snuje się bez końca

Nić cichéj pracy, któréj nic nie skruszy;
Dość śpiewu ptaka, dość promienia słońca,
Żeby obudzić natchnienie w twéj duszy.
Nie tobie z losem w szalone gonitwy
Wchodzić; dla ciebie zasługa i chwała,
Żeby myśl twoja na skrzydłach modlitwy
Wzrosła ku Bogu i Bóztwo oddała."

(Po chwili:)

I, co tam! ja się zrodziłem w téj chacie
I chcę tu umrzeć.

SCENA II.

Ciż sami, Beppo.

Beppo (wchodzi drzwiami z prawéj strony).

No, jakże się macie,
Czy zdrowo?

(Do Paoli, rzucając jéj na kolana płaszczyk:)

Weź-no ten płaszczyk ze złotą
Obszywką; patrzaj jak błyszczy. Pomięty,
Lecz zda się.

(Odwraca się do Carla:)

No cóż? jak idzie z robotą?

(Przygląda się posążkowi, kładąc rękę na oczy:)

A, na szatana! dzielny jest twój święty!

(Zbliża się i przygląda się uważniéj:)

Tylko tym oczom dałbym wyraz gładszy,
Głowę mu usuń trochę w tył, niech patrzy
Przed się, spojrzenie powinno być miłém...

Dwa lata temu będzie, uśmierciłem
Pewnego człeczka, był podobniusieńki.

Paola
(która przez ten czas przygląda się płaszczykowi).

Zkądże ten płaszczyk tak piękny i cienki?

Beppo.

Ba, zkąd? z zarobku... Czy widzisz, jak ładny?
Nie bój się, donnie nie zdarłem go żadnéj
Z ramion, lecz wczoraj, tam, przy Bożéj Męce
W lesie, od Sienny, przejeżdżał wieczorem
Jakiś człeczyna z zawiniątkiem sporém
I nieopatrznie popadł w nasze ręce.
Wziąłem tobołek, a człeka na drogę
Puściłem; ja nie zabijam... gdy mogę.

Paola (przypatrując się uważniéj płaszczykowi).

Tu krew!

Beppo.

Mówiłem: było już o zmierzchu,
Człek się upierał, dawał inne szmaty,
A nie chciał puścić téj kosztownéj szaty;
Drasnął go nożem Pumpo, tak, po wierzchu,
Dla strachu, i krew popłynęła z ręki.
Jak widzisz, wszystko dobrze poszło.

Paola (składając płaszczyk na stołek).

Dzięki

Ci... lecz...

Beppo.

Co znowu?

Paola.

Przyznam ci się szczerze,
Ja krwi nie lubię, krew się nie wypierze.

Beppo.

Ot gadasz! goją się cięcia najkrwawsze,
Nawet i śladu nie zostaje rany;
Gdyby się krew nas czepiała nazawsze,
Tobym ja cały był krwią obmazany.

Carlo.

Może masz słuszność; ale krew człowiecza
Nigdy bezkarnie nie bywa przelaną.
Przecię i w księgach świętych napisano:
Mieczem wojujesz, zaginiesz od miecza.

Beppo.

Wszakże żyć trzeba. Powiedzże mi, który
Człek czeka, by mu skudów tak narosło
Z nieba? Czyż własnéj nie nadstawiam skóry?
A przytém, widzisz, to moje rzemiosło
Już tak od młodu wpoiło się we mnie;
Ja nie zabijam ludzi nadaremnie,
Robię, gdy muszę; każda taka próba
Nigdy mi przecięż nie ujdzie na sucho,
Bo się spowiadam zaraz i ze skruchą
Szlę dar przed ołtarz świętego Jakóba.

Carlo.

Ale czy przez to przywróceni będą
Tamci do życia?

Beppo.

A pal ich tam licho!
Byle sumienie moje było cicho,
To główna. Ale z tą naszą gawędą
Byłbym zapomniał, co właśnie w téj chwili
Ojce mi tobie powiedzieć zlecili.

Carlo.

Co?

Beppo.

Że dziś z rana, jak raz o téj porze,
Ów markiz Crispi przyjechał, i pono
Czekać tam będzie na ciebie w klasztorze.

(Paola podnosi głowę i przysłuchuje się ciekawie.)

Carlo (uradowany).

Co? markiz Crispi! Czy słyszałaś, żono?

Paola.

Słyszałam.

Carlo.

Crispi!... A to mi prawdziwą
Sprawił dziś radość!

(Do Paoli:)

No, zawiń się żywo,
Płaszcz i kapelusz! zaraz tam iść muszę.

(Paola idzie po płaszcz i kapelusz, a przez ten czas Carlo owija mokrém płótnem gliniany posążek. Następnie bierze z rąk Paoli płaszcz i kapelusz.)

(Do Paoli.)

Wrócę niedługo.

(Wybiega drzwiami w głębi.)

SCENA III.

Paola, Beppo.

Beppo,

A, na moją duszę,
Jakże mu pilno!

Paola

(przybliżając się do niego, mówi z pewnym rodzajem gorączkowéj niecierpliwości).

Słuchaj! chwile biegą:
Co o markizie myślisz? mów!

Beppo.

Dla czego?

Paola.

Ty zawsze wszystko wiesz, a mnie ta sprawa
Żywo obchodzi...

Beppo.

Dyabelnieś ciekawa.

Paola (niecierpliwie).

Mówże!

Beppo.

Człek możny, rozkochany w sztuce,
Ma we Florencyi pałac, w Pizie pałac, w Luce
Pałac...

Paola.

A po co przyjechał tu?

Beppo (nie zważając na pytanie, mówi daléj).

Cenny
Obrazów zbiór...

Paola (przerywając mu).

Lecz...

Beppo.

Przytém koło Sienny
Sto akrów ziemi rolnéj z zamkiem, dwieście
Lasu; spieniężyć można w każdéj porze.

Paola.

Nie tego ja chcę.

Beppo.

Lubiony na dworze,

Protektor sztuki, na wdzięki niewieście
Czuły; lecz chcąc mieć wrażenia najczystsze,
Mistrze nad złoto, kobiety nad mistrze
Kocha.

Paola

(która przez ten czas dawała coraz większe znaki niecierpliwości).

Lecz po co przyjechał?

Beppo.

Bo wszędzie
Klasztor nasz znany, hojność Ojców suta,
Sporo arcydzieł i pendzla i dłuta,
Więc węszy, że je tanio tu nabędzie.

Paola.

To wszystko?

Beppo.

A cóż? pragnąłby z ostrożna
Od Carla także wydobyć co można.

Paola (z naciskiem).

Nic więcéj?

Beppo.

Sroczko! złapałaś się w sidła:
Wiem ja co znaczy to twoje „nic więcéj;"
Rola cichego spokoju ci zbrzydła,
Chciałabyś użyć fantazyi książęcéj.

Paola (odwracając głowę).

Szalony!

Beppo.

No, no, to rzecz dla mnie jawna;
Mój czuły ptaszku, znam ja cię od dawna.

Paola.

Beppo!

Beppo.

U ciebie w piersiach garnek próżny
Na miejscu serca.

Paola (groźnie).

Beppo! bądź ostrożny!

Beppo.

Bo co?

Paola,

Dla innych schowaj żarty swoje,
Bo ja rad nie chcę, a groźb się nie boję.

Beppo.

O wiem, turkawko, żeś do czynu szparka,
W tobie czart siedzi, co ma swoją wolę;
Ale pamiętaj, na świętego Marka!
Ja ci wybryków żadnych nie pozwolę.

Paola.

Ty?

Beppo.

A ja! wszakże mówię ci przytomnie:
Tak chcę, tak będzie!

Paola.

A tobie co do mnie?

Beppo.

Jam twój brat starszy, więc rachunek ścisły
Winnaś mi zdawać.

Paola.

Chybaś stracił zmysły!
Czy ja się mieszam, gdy twoi obwiesie
Zakolą kogo na polu lub w lesie?

Beppo.

Słuchaj i wprowadź to do mózgu sobie!
Ja wiem co robię, a co bądź ja robię,
To jest rzecz tylko między mną a Bogiem;
Ale mi zawsze w życiu było drogiém
Imię mych ojców, i co bądź się stanie,
Ja nie pozwolę, żebyś plwała na nie!

Paola.

Zbójco!

Beppo.

No, więc cóż? Czy ty myślisz może,
Iż na ten wyraz wzdrygam się lub trwożę?
Zapewne, jakiś książę albo hrabia
Bogaty z rodu pracą się nie strudzi;
Lecz cóż dziwnego, że wśród biednych ludzi
Każdy jak może na życie zarabia?
Głód najstraszniejsza dla człowieka klęska,
Dziwnoż, że chleba szukamy gdzie możem?...
A nóż nie hańbi, nóż to jest rzecz męzka,
I pewno nie tchórz, kto pracuje nożem.

Paola.

Z za węgła.

Beppo.

Mniejsza... lecz ci po raz wtóry
Powiadam: strzeż się!

Paola (chwilę waha się, jakby miała się rzucić na Beppa).

Beppo!

(Miarkując się nagle, mówi łagodnym głosem:)

Ależ który
Zły duch ci szepnął te myśli, że trudno
Ciebie przekonać?

Beppo (ponuro).

Bo znam cię.

Paola.

Obłudną

Przeto mnie sądzisz?

Beppo.

Tak, i wiem, iż sprośnie
Wszelkie zło w tobie krzewi się i rośnie.

Paola (ciągle łagodnie).

Jednak się mylisz; wierz mi, we mnie żadna
Myśl przeniewierstwa nie postała zdradna.
Jeślim badała dziś ciebie z ostrożna,
Był na to powód, chciałam wiedzieć, po co
Ten Crispi sam się Carlowi z pomocą
Narzucił i czy zaufać mu można?...
A dla mnie, cóż on? nic mnie w nim nie nęci,
Nie znam go wcale, a i nie mam chęci
Poznać...

(Spogląda na Beppa, który stoi ciągle w ponurém milczeniu, patrząc jéj w oczy, i mówi daléj:)

A gdyby myśl we mnie urosła,
Że ta codzienna, zmudna, ciężka praca
Duch w Carlu gnębi i zapał zatraca,
Sztukę zniżając z wolna do rzemiosła;
Gdybym go chciała wyrwać z téj ustroni,
By szedł między tych, którzy ludzkość całą
Wprawiają w podziw, by stał się jak oni
Wielkim natchnieniem i potężnym chwałą;
Gdybym ci wszystko to wyznała szczerze,
Czybyś mi wierzył?

Beppo.

Wierzę, czy nie wierzę,
To już rzecz moja; lecz pomnij, jeżeli
Dowiem się, żeś w błąd, który ciebie mami,
Popadła, że jest coś pomiędzy wami,
Żeście się nawet sam na sam widzieli,
To niech cię wszyscy Święci z nieba strzegą:
Jak psów zabiję i ciebie i jego!

Paola (z wybuchem gniewu).

O, ty mnie nie strasz twą miną junacką!
Wiesz, żem się nigdy przed wolą niczyją
Nie zgięła... i patrz...

(Nagłym ruchem wyrywa sztylet z włosów.)

Mam dla ciebie cacko!
I jam z krwi twojéj, bracie mój!...

(Chce się rzucić ku niemu.)

Beppo (odtrącając ją).

Precz, żmijo!

(Paola, odtrącona silnie, opiera się o ścianę, spoglądając na Beppa dzikim wzrokiem.)

Beppo (biorąc płaszcz i kapelusz).

Radzę ci szczerze: pomnij moje słowa
I siedź spokojnie... A teraz, bądź zdrowa!

(Wychodzi drzwiami na prawo.)

SCENA IV.

Paola (sama).

(Postępuje kilka kroków ku drzwiom, którémi wyszedł Beppo, wołając z gniewném uniesieniem:)

Przeklęty!

(Zatrzymuje się chwilę.)

Ale trzeba z nim z ostrożna,
Ten łotr jest gotów na wszystko.

(Pukanie do drzwi w głębi. Paola, nie słysząc, mówi daléj:)

On czeka
Jedynie chwili sposobnéj.

(Pukanie się powtarza. Drzwi w głębi otwierają się i ukazuje się w nich głowa Pasqualego.)

SCENA V.

Paola, Pasquale.

Pasquale (z poza drzwi).

Czy można?

Paola (cofa się kilka kroków, zdziwiona tém nagłém zjawieniem się).

Ha! czego tutaj szukacie?

Pasquale (wchodzi, oglądając się trwożliwie na około; mówi nieśmiało).

Z daleka

Idę; a miałem tu wczoraj z wieczora
Przybyć...

(Zatrzymuje się.)

Wszak to dom Carla jest, rzeźbiarza?

Paola.

Tak.

Pasquale.

A to dobrze, a pewno signora
Jest jego żoną?

Paola.

Tak, żoną.

Pasquale.

Nadarza
Mi się wybornie, bo nienadaremnie
Przychodzę... a czy sama?

Paola.

Sama.

Pasquale.

Brawo!
Mogę więc mówić.

Paola (na stronie).

Co on chce ode mnie?

Pasquale.

Przybywam tutaj z nader ważną sprawą:
Mnie tu przysyła markiz Crispi.

Paola (zdumiona).

Co? co?
Markiz?

Pasquale.

Miałem list, lecz jechałem nocą,
Zbóje napadli mnie, i już w rozpaczy
Sam nie wiedziałem...

(Spostrzega płaszczyk leżący na stoliku i mówi z wielkiém zdumieniem:)

A to znów co znaczy?

Paola (oglądając się).

Gdzie?

Pasquale (pokazując płaszczyk).

Płaszczyk!

Paola.

Płaszczyk?

Pasquale (coraz więcéj zdumiony).

Niech mię piorun spali!
To ten sam właśnie, który mi zabrali
Zbóje dziś w nocy!

Paola.

No i cóż?

Pasquale.

We czworo

Na mnie napadli...

(Z tchórzliwém wahaniem się.)

Czy ty masz, signoro,

Z nimi stosunki?

Paola (wzrusza ramionami)

Pasquale.

A to tak, bo właśnie...

Ale poczekaj, zaraz ci wyjaśnię.

(Bierze płaszczyk ze stołka i przeszukuje go.)

Tu, za podszewką, pod lamówką złotą,

Jest list schowany.

Paola.

List?

Pasquale.

Markiza.

(Wyjmuje nóż z kieszeni, odprówa podszewkę i wydobywa list.)

Oto

On.

Paola (wyrywając mu list z ręki).

Daj!

Pasquale

(gdy Paola odpieczętowywa list i czyta, mówi przyglądając się płaszczykowi).

Nietknięta pieczęć, jako żywo!...

Lecz zkąd ten płaszczyk wziął się tutaj? dziwo!...

(Do Paoli, pokazując płaszczyk:)

To dar markiza dla ciebie na drogę,
Signora; tylko, że pojąć nie mogę...

Paola (przeczytawszy list, przerywa mu).

Więc Crispi...

Pasquale.

Czekać będzie.

Paola.

A gdzie?

Pasquale.

W lesie.

Paola.

I po to tylko tu przyjechał?

Pasquale.

Po to.

Paola.

Czémże pojadę?

Pasquale.

Mam konia, co niesie
Wybornie.

Paola.

A ty?

Pasquale.

Ja pójdę piechotą.

Paola.

Jakiż znak?

Pasquale.

Gdzie przez rzeczkę idzie kłoda,
Stanę, hukając jako puszczyk.

Paola.

Zgoda.

Pasquale.

Więc do widzenia, za godzinkę małą.
Signora, pomnij... puszczyk...

(Wychodzi drzwiami w głębi.)

SCENA VI.

Paola (sama).

(Spogląda za odchodzącym, jak gdyby chciała go jeszcze przywołać, i nagle zwraca się na przód sceny.)

Już się stało!
Nie stłumić żądzy, co się w sercu budzi.

Pragnęłam światła, życia, uciech, ludzi,
Raz się wydobyć na tę drogę jasną
Z nizin do szczytów, bo mi tutaj ciasno
I duszno; tu mi tylko towarzyszy
Głuche znużenie nieprzerwanéj ciszy;
Tylko jak w puszczy przed oczy się słonią
Mnich z bladą twarzą i zbir z krwawą dłonią.
A on?... cóż znowu!... on mi ciężył... przeto
Zrywam te więzy, co nas przykuwały;
On przyrósł tutaj jako mech do skały...
Kocha mnie... no cóż?... bo jestem kobietą,
Bo przecięż musi coś kochać prócz gliny...
Zresztą nie pierwszy on i nie jedyny.
Dziś innych pragnień świta mi zaranie;
Za mną nie zdąży, więc niech sam zostanie.
Taki los... trudno... złą, czy dobrą dolą,
Lecz pójdę naprzód... tak...

SCENA VII.

Paola, Carlo.

Carlo (wbiega szybko drzwiami z prawéj strony i wysypuje przed Paolą garść złota).

Patrzaj, Paolo!...

Paola.

Złoto!

Carlo.

Tak, widzisz, jak blask z niego pada

Wokoło...

(Przesypując skudy na stole:)

Spójrz-no... prawdziwa kaskada!

(Zwraca się ku Paoli:)

Wszystko zakupił i zapłacił z góry,
Świętego Jana i Cecylię Świętą,
I ucztę w Kanie ledwie rozpoczętą.
Teraz mi starczy na śpiż i marmury.
Czy znasz te łomy kamienne w pobliżu?
Dziś stać mnie na nie; nędzarz, kto odtwarza
Z gliny lub drewna... to proch dla rzeźbiarza.
Pracować trzeba w marmurze lub śpiżu;
Mistrz kuje w skale, w cześć pamięci swojéj...
Choć człowiek padnie, skała się ostoi.

Paola.

To markiz Crispi...

Carlo.

Tak, a jeszcze przytém
Zamówił u mnie trzy oddzielne prace,
I rzekł: „Jaką chcesz cenę ci zapłacę.”
Nawet Ojcowie tak wielkim zaszczytem
Byli zdumieni. Na Crispiego słowo
Chcą robić ze mną dziś ugodę nową;
Sam Ojciec Aldo przyjdzie tu za chwilę
Wybrać modele...

(Powracając do stołu i pobrzękując złotem:)

Spojrzyj tylko, ile
Tego...

Paola (zimno).

A widzę.

Carlo.

Tutaj złota stanie
Dla ciebie także; bo w tobie, kochanie,
Jest moje szczęście, i męztwo i siła;
Więc uroczystość święcę ci dzisiejszą.
Tyś dla mnie wszystkiém; chcę, żebyś mi była
Najwdzięczniéj strojną, gdyś jest najpiękniejszą.

Paola.

Tyś dobry, Carlo.

Carlo.

Nieraz sam się dręczę,
Widząc twych myśli ciemniejącą tęczę,
Paolo moja! bo wam, słońca córy,
Trzeba barw świetnych, złota i purpury,
Światła i ciepła, a nieraz na zimnie,
Kwiatku mój złoty, ty więdnęłaś przy mnie.
Czułem jak twoje zatęsknione oko
Gdzieś w świat daleki, na dolę szeroką
Spogląda smutno. Więc dziś, jako żywo,
Chcę cię kwitnącą widzieć i szczęśliwą.

Paola.

Mam dość, o sobie pamiętaj.

Carlo.

Na Boga!
Ja w tobie żyję, tyś mną; wszystko twoje
Tu w sercu echem brzmi, a życia droga
Stokroć łatwiejsza, gdy w nią idzie dwoje.
Ale dość już słów; z podwójnym zapałem
Trzeba mi zbierać Bożych natchnień ziarno.
Ta chwila szczęścia, którą dziś schwytałem,
Niechaj się krzewi, a nie ginie marno.

(Odkrywa powoli posążek i przypatruje mu się.)

No .. żeby było też przewidzieć komu,
Że przyjdzie na mnie dzień...

SCENA VIII.

Carlo, Paola, Padre Aldo.

Padre Aldo (wchodząc drzwiami w głębi).

Pokój w tym domu!

Carlo.

Bóg z tobą, Ojcze!

Padre Aldo.

Sprawiedliwy w ciszy
Gdy wzywa Boga, Bóg widzi, Bóg słyszy,
Bóg schodzi.

Carlo.

Darzy nas szczęściem i zdrowiem,
Dzięki Mu!

Padre Aldo.

Szczęściu nie ufaj, albowiem
Kruche jest, jako wszelki sprzęt człowieczy;
Źle czyni, kto je ciągle ma na pieczy.

Carlo.

Z ust twoich, Ojcze, złote słowa płyną.

Padre Aldo.

Gdy szedłem tutaj, przed klasztorną bramą
Spotkał mnie stary Cini Girolamo,
Który miał przednią straż pod Malaspiną.

Carlo.

Ten, co na Lukę słał go Malaspina?

Padre Aldo.

Tak, dziś mu cała wymarła rodzina,
Został sam, i chce ziemski swój dobytek
Na chwały Bożéj obrócić użytek.

Carlo.

Zbawienny pomysł.

Padre Aldo.

Na początek w darze

Naszéj świątyni chce dać dwa ołtarze
Nowe.

Carlo.

Zaprawdę piękna rzecz...

Padre Aldo.

Więc sądzę,
Że się sposobność dobra tobie zdarza,
Bo stary Cini nie dba o pieniądze.

Carlo.

A mam plan właśnie nowego ołtarza.

Padre Aldo.

Daj go!

Carlo (wyjmując zwitek grubego papieru z szuflady stolika).

Rozmiary brałem w bocznéj nawie;
Plan już dawniejszy, lecz jeszcze poprawię.

(Kiedy Padre Aldo przypatruje się planowi, tymczasem Carlo spogląda na Paolę, która, zbliżywszy się do okna, bije niecierpliwie palcami w szyby.)

Carlo (do Paoli).

Co tam tak patrzysz?

Paola.

Że niebo się chmurzy,
Może być burza.

Carlo.

Czy lękasz się burzy?

Paola.

Nie... tylko...

(Słychać hukanie puszczyka.)

Carlo.

Co to? puszczyk o téj porze!
Zła wróżba!

(Wygląda przez okno.)

Prawda, dyablo się na dworze
Ściemnia.

(Puszczyk odzywa się po raz wtóry.)

Ot znowu!... to bestya cała,
Myśli, że już noc...

Paola.

A ja właśniem chciała
Do matki Crecyi jeszcze odnieść przędzę.

Carlo.

Do matki Crecyi? ona tam za rzeką
Mieszka.

Paola.

Przez kładkę przejść mi niedaleko,
Wrócę przed burzą i czasu oszczędzę.

Carlo.

No idź, lecz wracaj szybko.

(Paola waha się przez chwilę, jakby jeszcze chciała coś powiedzieć Carlowi, i nagle wybiega śpiesznie.)

SCENA IX.

Carlo, Padre Aldo.

Padre Aldo (kładąc plan na stole).

Piękna praca,
Zaiste; ale są braki niektóre,
Trzeba poprawić.

Carlo.

Jakie?

Padre Aldo.

Nazbyt w górę
Idą kolumny, przez to się zatraca
Harmonia kształtów, a cokuł zbyt duży,
Tak, że sam ołtarz węzi się i dłuży.
Przytém świętego twarz Jana Babtysty
Ma jakiś wyraz niepewny i mglisty.
Muszkułów zbytek, to atlety ciało:
Nadto energii, świętości zbyt mało.

Carlo.

Takim być musiał.

Padre Aldo.

I któż temu przeczy?
Żył na pustyni, nawracał w pustyni.
Ale, mój synu, kto się świętych rzeczy
Dotyka, z góry ten ofiarę czyni
Z światowych wrażeń, i szuka, dopóki
U stóp ołtarzy duch się nie uściele.
Kościół nie pałac, potrzebna w kościele
Sztuka świętości, a nie świętość sztuki.

Carlo.

Wybacz mi, Ojcze, dla mnie niepodobna
Myśl na dwa tory prowadzić z osobna.
Obraz, co sobie raz w głowie ustalę,
Wyjdzie jak powstał, lub nie wyjdzie wcale.
Gdy tworzę, na mnie głos nieznany woła,
W oczach mi dziwne promienieją blaski;
Może to zgubny jaki wpływ, lub zgoła
Już niemoc ducha; możem Bożéj łaski
Posiadł zbyt mało; może myśli biegą
Błędnie, gdzie siła wiedzie je nieznana...
Lecz nawet szatan, gdy widzę szatana,
Jest dla mnie pięknym, bo jest królem złego.
Wiem, że są mistrze, co z natchnionéj dłoni
O niebo biją dziełami swojemi;
Chciałbym być wielkim i świętym jak oni,
Lecz jam proch... coś mnie przykuwa do ziemi.

Padre Aldo.

Tyś rzekł, mój synu: to wpływ zły. Jeżeli

Tamci wyrośli już i spotężnieli,
To wiedz, że cnoty ich biorąc na szalę,
Bóg błogosławił im ku Swojéj chwale.
Cóż wznioślejszego w świecie znaleźć możem
Od myśli, która pod natchnieniem Bożém,
Ponad żądz lichych i nędz ludzkich zgliszcza,
Wznosi się w górę i ducha oczyszcza?
Lecz kto myśl ziemską z ducha swego przędzie,
Ten wiecznie z siłą już nieczystą zbratan, —
I... strzeż się, synu... ciebie trzyma w błędzie
Ten, którego ty pięknym widzisz — szatan.
Strzeż się!...

Carlo (schylając głowę).

Zgrzeszyłem, Ojcze.

Padre Aldo.

Czas ucieka,
Bóg zna, Bóg sądzi, kara niedaleka.

Carlo.

W olbrzyma chciałem myślą wyrość karlą.

Głos (za sceną z daleka).

Carlo!

Padre Aldo.

Żałujesz?

Głos (za sceną bliżéj).

Carlo!

Carlo (klękając przed Ojcem Aldo).

Tak jest.

SCENA X.

Ciż sami, Beppo.

Beppo (wbiegając szybko drzwiami w głębi).

Carlo!
Gdzie jest Paola? gdzie jest twoja żona?
Czy wiesz?

Carlo.

Do matki Crecyi poszła.

Beppo.

Ona
Uciekła.

Carlo (zrywając się z kolan).

Coś rzekł?

Beppo.

Sam na własne oczy
Widziałem, jak sen migło mi w pomroczy
Wieczornéj... jeźdzcy dwaj przebiegli cwałem,
Ona i Crispi... za muszkiet schwytałem,

Lecz zanim lont się zdołał zetknąć z rurą,
Już mi odbiegli i znikli za górą.

Carlo (powtarza jakby nieprzytomnie).

Paola!... Crispi!...

Beppo.

A jam téj niewiernéj
Mówił... lecz jadem z dziecka już zatruta.

Padre Aldo (wznosząc ręce w górę).

Ukorz się, to jest kara i pokuta
Razem.

Carlo (z wykrzykiem rozpaczy).

Uciekła!... Boże miłosierny!...

(Upada na ziemię.)

A K T II.

(Komnata w pałacu Cinich we Florencyi. Umeblowanie z pierwszéj połowy XVI wieku. Krzesła, fotele, dywany do wypoczynku, wielka tualeta ze zwierciadłem, w stylu florenckim. Drzwi w głębi, drzwi z prawéj, drzwi z lewéj strony. W lewéj kulisie ukryte drzwiczki. Dwa okna.)

SCENA I.

Guido, Padre Aldo.

(Za odchyleniem zasłony, scena przez chwilę pozostaje pustą. Z daleka dolatują dźwięki muzyki. Słychać trzask klucza we drzwiach. Boczne drzwi ukryte otwierają się, i wychodzi z nich Guido, a za nim Padre Aldo).

Guido (uchylając drzwi i wprowadzając Padre Aldo).

Otoż jesteśmy, tu Ojcze.

Padre Aldo.

W téj sali?

Guido.

Ciniowie starzy gmach ten budowali;
Tu odprawiały się Gwelfów obrady.
Dziś to plac uciech i rozpustnéj swady,

W którym się hańby wciąż odbywa praca.
Tu Girolamo resztki sił zatraca
I kładzie, pełniąc nierządnicy wolę,
Pieczęć spodlenia na Florencyi czole.

Padre Aldo.

To jéj komnata?

Guido.

Tak, to jéj komnata,
Starych margrabiów spuścizna bogata,
Która na chwałę iść miała świątyni,
Topi się w rękach téj niecnéj; a Cini,
Ostatnie życia przerzucając karty,
Zagasłym wzrokiem patrzy w grób otwarty.

Padre Aldo.

Więc tak spadł nizko?

Guido.

W téj zatracie ducha
Znikły już resztki woli i sumienia.
To głaz: nie czuje, nie patrzy, nie słucha,
Tylko wzrok Riccii budzi go z uśpienia;
Nić złota, którą ona w ręku trzyma,
Potrząsa cielskiem martwego olbrzyma.

Padre Aldo.

Cini!

Guido.

Tak, on sam; tylko w nim została
Niezwyciężona niczém siła ciała.
Ten starzec, w gniewie, pięścią jakby młotem
Głazy w proch kruszy, sam nie wiedząc o tém.

Padre Aldo.

Bo też w tych bojach, co z Strozzim staczali,
Był to człek straszny, był to mąż ze stali,
Z krwawém wejrzeniem, z ponurém obliczem,
Niczém niestrwożon, nieugięty niczém.
Jakaż piekielna téj kobiety siła,
Że pod swe stopy ten ogrom rzuciła!

Guido.

Kobiety w sercu czerpią słabość swoją,
Gdzie serca braknie, tam siły się dwoją;
Taką już szatan naznaczył w kolebce
Znamieniem swojém. Biegnąc w życie sprośnie,
Zatruje wszystko i wszystko podepce,
A na ruinach krzepi się i rośnie.

Padre Aldo.

Cóż Crispi?

Guido.

Chwilę przykuwał ją złotém
Ogniwem, wkrótce w dłoni mu stopniało;
Potém był Vicchi, potém Ginbri, potém
Corso... Florencyę mógłbym zliczyć całą,

Która téj niecnéj przeszła już przez ręce.
Tchnienie jéj skarby chłonęło książęce.
Wśród tych, co o nią wciąż w zawody idą,
Była i jego eminencya...

Padre Aldo (przerywając mu surowo).

Guido!

Guido.

Tak... zapomniałem... ale ta niewiasta
Jest plagą Bożą dla naszego miasta.

Padre Aldo.

Cóż ty tu robisz?

Guido.

Ano, tak, przy słońcu
Miłości, u nas, żyje także sztuka.
Riccia się pyszni swém ciałem, więc szuka
Tych, którzy rzeczy ziemskie pną ku górze
Tchem swoim. Już ją odtwarzał w marmurze
Matteo, teraz wzmogła się odwagą,
Chce, bym ją na tle purpury i złota
Jako bachantkę odmalował nago.

Padre Aldo.

I ciebie taka nie straszy sromota?
I nie obawiasz się, że cię dosięże
Grom Niebios?

Guido.

Wszakże wierzysz w Boga, księże?

Padre Aldo.

Ty pytasz?

Guido.

Idę przez utartą drogę:
Co sam Bóg stworzył, ja malować mogę.

Padre Aldo.

Sinite illos, coeci sunt.

Guido.

Więc tobie
Wywiodłem, Ojcze, wszystko jak na dłoni.
Lecz w tym wielkości i czci naszéj grobie
Zkąd ty i po co?

Padre Aldo.

Ja przyszedłem do niéj.

Guido.

Do niéj?

Padre Aldo.

Silna jest światowa pokusa,
Lecz sługa Boży, mimo ludzkie względy,
Winien jest zawsze, za śladem Chrystusa,
Nieść słowo łaski i zbawienia wszędy.

Bóg, co tajniki serc naszych przenika,
Gdy złość się ludzka bezsilnie nań miota,
Nim potępienie wyrzeknie grzesznika,
Chce, aby skruchy otwarte miał wrota.
Idę więc do téj, co w błędzie zaciekła,
Idę więc do téj z sumienia wyzutéj,
Idę... może ją skłonię do pokuty,
Nim przed nią bramy otworzą się piekła.

Guido.

Ba, gdybyż tylko stary Girolamo,
Ale ją legion wciąż otacza cały!
A żeby słowa twoje skutkowały,
Pragniesz ją pewnie samą widzieć?

Padre Aldo.

Samą.

Guido.

Więc gdy nawrócić ją chcesz tak wytrwale,
Niechaj się myśl twa w cierpliwość uzbroi.
Cini to mniejsza, on wiecznie śpi; ale
Inni... W pracowni chciéj ukryć się mojéj,
A ja, stosowną gdy upatrzę chwilę,
Dam ci znać... Ot już, jeśli się nie mylę...
To oni.

(Wchodzą dwaj paziowie i otwierają podwoje z prawéj strony sceny.)

Teraz śpiesz do téj ustroni,
Którą-m ci wskazał i czekaj... Tak, oni.

(Przez otwarte drzwi dolatują silniejsze dźwięki muzyki i śpiewu.)

Padre Aldo

(podchodzi do drzwi z lewéj strony, i stanąwszy w progu, odwraca się ku scenie i podnosi ręce w górę).

Gmach, w którym podłość i rozpusta mieszka,
Opuści ściany i runie w perzynę,
A gęstém zielskiem porośnie doń ścieżka,
A chwasty tylko wejdą na ruinę.

Guido.

O! jeszcze Bóg ten, co Go zapomnieli,
Promieniem łaski ponad nimi błyska.
Krzyż odrodzenia przebije zwaliska
I w górę jasném ramieniem wystrzeli!

Padre Aldo.

Amen!

(Wychodzi drzwiami na prawo.)

SCENA II.

Guido, Mona Riccia, Cini, Salviati, Capponi, Pazzi, kilku panów florenckich.

(Drzwiami na prawo wchodzi Cini, prowadząc pod rękę Monę Riccię. Panowie idą za nimi, rozweseleni rozmową. Dwaj żołdacy w wojennym przyborze czarnych band wnoszą wielki, wspaniale zdobny, herbowy fotel, na którym Cini zasiada.)

Mona Riccia (do Salviatego).

Powtórz-no tę piosenkę swoją,
Hrabio.

Salviati (pokazując na Capponiego i Pazzego).

Jeżeli oni się nie boją
Słuchać.

Capponi.

Cóż znowu!

Salviati (śpiewa).

Książe Medyceusz Jan
Był to pan,
Ale Medyceusz Piotr,
Był to łotr.
Cieszcie się, poczciwe dusze,
Florencyo łzy otrzyj,
Bo wszyscy Medyceusze
Panowie lub łotrzy.

Mona Riccia (śmiejąc się).

A to mi godowa
Piosenka!

(Zbliża się do Ciniego, który siedzi nieruchomy w fotelu, i kładzie mu rękę na ramieniu.)

Słyszysz, Cini?

Cini (jakby budząc się ze snu).

Tęga głowa
Jan!

(Odwraca się do jednego z żołdaków za nim stojących.)

Czy pamiętasz? ten Soldani głupiec,

Co go Jan w ogniu żywcem kazał upiec,
Bo wielkim czartem go nazwał...
(Opuszcza głowę na piersi i w dalszym ciągu sceny zasypia powoli.)

Capponi (biorąc Salviatego na stronę).

Rzucacie
Kości zbyt śmiało: przydomki książęce
Mogą śmiech wzbudzić; lecz pamiętaj, bracie,
Medyceusze mają długie ręce.

Salviati.

E... kto tam sobie dziś z nich wiele czyni!
Te długie ręce aż po łokcie w skrzyni
Zagrzęzły miejskiéj, i tak tém zajęci,
Że...
(Spostrzegając Guida:)
Cóż ty, Guido?

Guido.

A niech wszyscy święci
Ciebie ustrzegą! Lecz ja tylko małą
Poprawkę zrobię w twém rymowém słowie:
Medyceusze, ilu ich tam stało,
Wszyscy są łotrzy, nie wszyscy panowie.

Mona Riccia (do Guida).

Obraz próżnuje dziś...

Guido.

Spóźniona pora.

Mona Riccia.

To mi dogadza, jestem jakaś chora,
Nudna...

(podchodzi do tualety i przegląda się w zwierciedle:)

mizerna... a pragnę być piękną,
Niechaj przynajmniéj mnie się nie przelękną
Ci, co zobaczą twój obraz...

(Po chwili milczenia:)

Zajęcia
Mi brak.

(Do Salviatego:)

Salviati, dawnoś widział księcia?

Salviati.

Wczoraj.

Mona Riccia.

Cóż robi?

Salviati.

A cóż? plany z drzewa
Buduje, fresków pilnuje i ziewa.

Mona Riccia.

A mała Bardi?

Salviati.

Ba... już go ta mała
Nudzi, nowa mu miłość zajechała
Do głowy...

Mona Riccia.

Któż jest ta losu pieszczocha?

Salviati.

Nie wiem, ale się kocha.

Mona Riccia (ziewając).

Niech się kocha,
Gdy mu z tém dobrze.

(Ziewa znowu.)

Nudy!

(Do młodych panów:)

Puste głowy
Z was, ja zabawy chcę!

(Do Guida:)

Może ty, Guido,
Powiesz...

Guido.

Cóż? Domy stoją, ludzie idą,
Słońce lśni...

Pippo (służący, ukazując się we drzwiach).

Przybył Scaramuccio nowy,
I chce o posłuch waszych łaskawości
Prosić; człek sprytny, umie bawić gości.
Gra na gitarze i śpiewa aż miło.

Mona Riccia.

A... Scaramuccio!... Dobrze się zdarzyło:
Niech wejdzie!...

Capponi (wzruszając ramionami).
Błazen?

Mona Riccia.
Tak, moi panowie,
Może choć błazen coś mądrego powie,
Gdy wy milczycie...

SCENA III.

Ciż sami, Scaramuccio, Pippo (we drzwiach).

Scaramuccio.
(Płaszcz czarny, gitara zawieszona przez plecy, na twarzy maska pręgowana, rapir przy boku. Mówi przez nos. Przy wejściu do sali robi młyńca i kłania się komicznie.)

Sługa waszych cześci!
Jestem posłańcem wielce dobrych wieści.
Na ziemi pokój już się rozpoczyna;
Takem haniebnie zwojował Turczyna,
Że widząc jako próżna jego praca,
Sprzedaje harem i do Azyi wraca.

Guido.
Dzielny zuch z ciebie!

Scaramuccio.
Tego jeszcze mało.
Żona mi z jakimś uciekła warchołem,
Więc do Hiszpanii za nią popłynąłem,
Gdzie się na walkę byków gotowało.

Ale byk cofnął się przedemną z trwogi,
Zobaczył bowiem, że mam większe rogi.

Salviati.

Takie zjawisko niezawsze jest miłém.
Gdzieżeś je podział?

Scaramuccio.

W morzu utopiłem.

Salviati.

W którém? boś wszystkie zmierzył morza chyba?

Scaramuccio.

W tém, w którém Jonasz połknął wieloryba.

Mona Riccia.

Jak się nazywasz?

Scaramuccio.

Mnie, imię przynieśli
Zacni przodkowie. Mój ojciec, konował,
Znał wszelkie bydło, a dziadek, u cieśli
Pracując, wraz z nim wielki most budował,
I nawet wiersze o tym moście słyną,
Co je napisał Pietro Aretino.

(*Recitativo*, przy akkompaniamencie gitary:)

Dbał gospodarno
O miasta wzrost;

Na rzece Arno
Zbudował most.
By trwał przez wieki
Dał go wszerz rzeki.
Rozumu kawał
Widnieje w tém:
Gdyby wzdłuż dawał,
To byłby kpem.

Mona Riccia.

Cóż umiesz?

Scaramuccio.

Umiem zakochanéj parze
Ułatwić schadzkę i czuwać nad schadzką;
Umiem z natrętem zawinąć się gracko;
Umiem pod oknem śpiewać przy gitarze.

(*Recitativo:*)

Umiem pieścić słodkie słowa,
Co wpadają w uszko...
Kiedy ogniem płonie głowa,
A bije serduszko.
Gdy nadzieją już niepłonną
Miłość w duszy pała...
Co ja umiem, poznasz, donno,
Byleś poznać chciała.

Salviati.

Co kochasz w życiu?

Scaramuccio.

Kobiety i wino.

Capponi.

Co stoi szczęściu na przeszkodzie?

Scaramuccio.

Cnota.

Guido.

A którzy ludzie najrozgłośniéj słyną?

Scaramuccio.

Ci, co wyleli morze krwi i złota.

Mona Riccia.

Podobasz mi się; przytém w dobrą porę
Przybywasz: a więc na służbę cię biorę.
Przy bocznéj fórcie będziesz trzymał straże.
Czujność na rozkaz, a za twoje trudy
Wikt i mieszkanie i złota dwa skudy
Na miesiąc; resztę Pippo tobie wskaże.

Scaramuccio.

(*Recitativo:*)

Signoro, tobie
Wyznanie zrobię,
Co może zda się:
Mam ja w zapasie

Dwie sakwy duże,
W nich płacz i śmiech.
Za dwóch usłużę,
A zjem za trzech!

(Wybiega w podskokach, pobrząkując na gitarze, a za nim wychodzi Pippo.)

SCENA IV.

Ciż sami, opróćz **Scaramuccia.**

Guido (spoglądając za odchodzącym).

Sprytny łotr!

Salviati (do Capponiego).

Czy wiesz? Bandini na via
Romana pallę puszcza...

Capponi.

To zuch! Brawo!

(Zabierając się do wyjścia:)

Pójdź!

Guido.

Palla w sklepach okna powybija.

Capponi.

A niech wybija; mamy wszelkie prawo
Do tego: kupcy nadto są bogaci.

Salviati.

Psiarstwo z nas żyje, niechaj za nas płaci!
Pójdźmy!
(Żegnają Monę Riccię ukłonem głowy i wychodzą.)

SCENA V.

Mona Riccia, Guido, Cini (śpiący w fotelu), **dwaj żołdacy** za nim.

(Po odejściu Salviatego i innych, Guido ma się także ku drzwiom. Mona Riccia zatrzymuje go, kładąc mu rękę na ramieniu.)

Mona Riccia.

Pozostań, mam pomówić z tobą.

Guido (wskazując ręką na Ciniego).

Mona Riccia.

On śpi.
(Do dwóch żołdaków, którzy stoją za fotelem Ciniego:)
Odejdźcie!
(Żołdacy odchodzą.)
(Do Guida:)
Wczoraj nocną dobą,
Widziano ciebie na piazza Maggiore.

Guido.

Być może.

Mona Riccia.

Cożeś w tak spóźnioną porę
Tam robił?

Guido.

W nocy, przy księżycu, błogo
Marzyć.

Mona Riccia.

Tyś czekał na kogoś!

Guido.

Na kogo?

Mona Riccia.

Czy ja wiem?

Guido.

Więc cóż?

Mona Riccia.

O! gdybym wiedziała!

Guido.

Cóżby się stało?

Mona Riccia.

Ta wiedźma zuchwała,
Którą przeciw mnie piekła chyba zbroją,
Jużby przeżyła ostatnią noc swoją.

Guido.

Zkądże ci prawo śledzić w każdéj chwili
To, co poczynam i co myślę? Czyli
Twoim rozkazom posłuszne pacholę,
Jam się już tobie zaprzedał w niewolę?

Mona Riccia.

Tyś mój!

Guido.

Mylisz się. Wszak szczęście wzajemnie
Brałem od ciebie, tak jak ty odemnie.
Kiedy miłosne porywy już chłodną,
Jam jest swobodny, tak jak ty swobodną
Chcesz być.

Mona Riccia.

Nie cofnie się na mojéj drodze
Nikt, aż go sama chyba wyswobodzę.

Guido.

Słuchaj mnie, Mono. Nie obraź się szczerém
Słowem. Ja nie chcę tu być bohaterem,
Co sercem z złudzeń szczycąc się odartém,
Miłość igraszką zwie, a życie żartem.
Ale gdy przeszła ta urocza chwila,
Gdy się zerwało złotych marzeń włókno,
Wiązać je — próżność się tylko wysila...
Miłość, jak ptaszek... frunęła przez okno.

Mona Riccia (ponuro).

Tyś mnie nie kochał.

Guido.

Serce niedościgle
Roi; więc po co stawiąc pęta na nie,
Jako alchemik kłaść uczucia w tygle,
I śledzić w ogniu, co z nich pozostanie.
Czyliż nie lepiéj, jeśli dusza żywi
Jasne wspomnienie... Byliśmy szczęśliwi!

Mona Riccia.

A więc kłamałeś miłość!

Guido.

Nie kłamałem.
Byłaś jedyną mi i ubóztwioną;
Lecz nasze drogi krzyżują się, Mono.
Więc wiedz, że sercem ja miłuję całém
Moją Florencyę, i pragnąłbym od niéj
Odrzucić płaszcz ten rozpusty i zbrodni,
Który nędznicy ręką znikczemniałą
Na jéj skrwawione narzucili ciało.
Dla ciebie, Mono, jest głuchy i niemy
Jęk ten... a więc żyć z sobą nie możemy.

Mona Riccia.

Co mi Florencya!... gród magnackiéj buty,
Siedziba zmarłych, grób złotem zasuty,

W którym żyjące trupy całą zgrają
Płaszczą się, gniją i na przeszłość plwają!
Co mi Florencya, ze swą dawną chwałą
I wspaniałością!... i cóż z niéj zostało?
Z dala odemnie, co truje i ziębi!
Ja jestem życiem śród téj śmierci!... Z głębi
Piersi méj oddech, silném wrzeniem młody,
Pragnie użycia, szczęścia i swobody.
Nie na to w żyłach krew coraz namiętniéj
Krąży, a serce przyśpieszenie tętni,
Bym się dla widma zawracała z drogi...
Wasze wielkości pełzną mi pod nogi,
Brwi mych zmarszczenia śledząc z niepokojem...
Co mi Florencya! Od podstaw, do szczytu
Zgnilizna... Ja chcę miłości, przesytu,
Chcę ciebie... sama chcę być bóztwem twojém!

Guido.

Nie bluźń ojczyźnie!

Mona Riccia.

Tu królestwo moje!
Wyście upadli wszyscy w proch... ja stoję!

Guido.

Jest Bóg!

Pippo (wchodząc).

Książęcy posłaniec, signoro,
Przybył i pragnie cię widzieć.

Guido.

Niedługo,
Mono, czekałaś; masz odpowiedź skorą.
(Z ironicznym ukłonem:)
Zostawiam ciebie z tym książęcym sługą.
(Wychodzi szybko drzwiami na lewo.)

SCENA VI.

Cini (śpiący w fotelu), **Mona Riccia, Posłaniec książęcy.**

Posłaniec książęcy (wchodząc).

Signoro! list ten mam sam w twoje ręce
Złożyć.
(Podaje jéj list z ukłonem.)
Spełniłem rozkazy książęce.
(Wychodzi.)

Mona Riccia (czyta).

„Ty dzierżysz wdzięków we Florencyi berło,
„A jam na twoje posłuszny rozkazy.
„Do drzwi ukrytych zapukam trzy razy,
„To znak. Pozdrawiam cię, piękności perło!"
(Chowając list.)
Przyjdzie... lecz tamten!... On pod moję wolą
Ugiąć się musi!...
(Otwierają się drzwi z lewéj strony i ukazuje się w nich Padre Aldo.)

SCENA VII.

Ciż sami, Padre Aldo.

Padre Aldo (wchodząc).

Bóg z tobą, Paolo!

Mona Riccia.

Ty, Ojcze!... tutaj?...

Padre Aldo.

W noc zepsucia ciemną,
Z trwogą i wstrętem wstępuję mnich stary;
Niosę ci słowa miłości i wiary,
Sumienie twoje jawi się tu ze mną...
Byłaś cnotliwą...

Mona Riccia (ponuro).

Jużem być przestała,
Daleko za mną przeszłość moja cała.

Padre Aldo.

Wiem, że cię błędu pociągnęła droga,
Ale nad grzesznym miłosierdzie Boga
Czuwa z wysoka...

Mona Riccia.

Już nie dla mnie ono;
Zostanę grzeszną i nienawróconą!

Padre Aldo.

Mylisz się, córko, to błąd ciebie łudzi.
Prawu Bożemu ulega twór wszelki.
I zło i dobro doczesne u ludzi,
Tylko Bóg wieczny, niezmienny i wielki.
Z Jego to natchnień ta chwila szczęśliwa
Przychodzi na nas, gdy łaska przenika
Do głębi duszy, a skrucha grzesznika
Tém Mu jest milszą, im grzech cięższy bywa.

(Po chwili milczenia:)

Gdzie twój mąż?

Mona Riccia (spuszczając głowę).

Nie wiem.

Padre Aldo.

Słuchaj... dniami temi
Zwiedzałem w Forni twéj matki grobowiec...
Stał opuszczony, bez kwiatów, samotny,
Pyłem pokryty i od mgły wilgotny.
I zdało mi się, jak gdyby z pod ziemi
Głos na mnie wołał: „Starcze! idź i powiedz
Mojéj wyrodnéj córce, niechaj dłużéj
Nie kala życia sromotnemi czyny,
Niechaj szatańskim podszeptom nie służy,
Niech drży... bo nie zna dnia, ani godziny!..."

Mona Riccia.

Księże! dla czego wlewasz w moją duszę

Te krople jadu? Czemu mnie tak srodze
Udręczasz?

Padre Aldo.

Ty na potępienia drodze
Jesteś i trwasz w niéj uparcie...

Mona Riccia.

Bo muszę,
Bo mi nie cofnąć się.

Padre Aldo.

Pomnij, że czeka
Cię kara straszna, kara niedaleka.
Już miecz anioła krwawą błyska zorzą...
Biada grzesznikom, co się nie ukorzą!

Mona Riccia.

Jak losy zechcą.

Padre Aldo.

Słuchaj... Niech zagości
Skrucha w twéj duszy, wróć w domowe ściany,
Pokuta goi najzjadliwsze rany,
A w sercu Carla są skarby miłości.

Mona Riccia.

Nie mogę, czarna przepaść mnie rozdziela
Od téj przeszłości...

Padre Aldo.

Czyliż cię nie nęcą
Te dni miłości, szczęścia i wesela,
Opromienione prostotą dziecięcą,
W któréj, jako kwiat woniący wspaniało,
Serce się twoje Bogu otwierało?

Mona Riccia.

Ojcze!

Padre Aldo.

Pamiętaj! na sądzie straszliwym,
Anioła pomsty ozwie się wołanie...
Gdy Bóg zapyta: Coś ze sprawiedliwym
Zrobiła? rzekniesz: Zabiłam go, Panie!

Mona Riccia (ponuro).

To los!

Padre Aldo (ze wzburzeniem).

Kobieto!...

(Urywa nagle, podnosi rękę do góry i mówi:)

O! szatańskie plemię,
Wzrosłaś niby chwast i trujące ziele;
Bóg ciebie dotknie, jako Jezabelę,
I z téj ohydy oswobodzi ziemię!...

(Wychodzi szybko drzwiami na lewo).

SCENA VIII.

Cini (śpiący), **Mona Riccia.**

Mona Riccia (spoglądając za odchodzącym).

Ten mnich! czyż jego żądałam opieki?...
Chce mnie uzdrowić... nie mnie takie leki.
Na nowo życia nikt już nie rozpocznie...
Tak...

(Dzwoni, wchodzi Pippo.)

Scaramuccio niechaj tu niezwłocznie
Przyjdzie!

(Pippo wychodzi.)

O! ten mnich!... pomstą groził Nieba...
Słowo wiatr... ale dowiedzieć się trzeba
O Carlu...

SCENA IX.

Cini (śpiący), **Mona Riccia, Scaramuccio.**

Mona Riccia (do Scaramuccia).

Zbliż się!... Słuchaj, dzisiaj biorę
Na próbę zręczność twą. Szukam człowieka;
Jest o nim tylko poszlaka daleka,
Ale chcę wiedzieć, kędy on w tę porę
Przebywa... Znajdziesz?

Scaramuccio.

Znajdę... Jak mu miano?

Mona Riccia.

Carlo.

Scaramuccio.

Zkąd?

Mona Riccia.

Z Forni.

Scaramuccio.

A czém był?

Mona Riccia.

Artystą.

Scaramuccio.

Więc uciekł ztamtąd?

Mona Riccia.

Uciekł.

Scaramuccio.

Czy widziano

Go gdzie?

Mona Riccia.

Nie, nigdzie.

Scaramuccio.

Rzeczą oczywistą,
Że się tu pewnie we Florencyi błąka;
Na żer artystów tu obfita łąka.

Mona Riccia.

Być może.

Scaramuccio.

To raj, który w sobie mieści
Mężów bez mózgu, kobiety bez cześci.

Mona Riccia (spogląda przez chwilę na niego).

Ty pełń rozkazy, a powstrzymaj żarty;
Jam nie do żartów dziś...

Scaramuccio.

Znałem człowieka,
Co złote serce miał, choć strój wytarty,
A zwał się Carlo.

Mona Riccia.

Spiesz, bo czas ucieka...

Scaramuccio (recitativo).

Biedny Carlo popadł w szał,
Piękną żonę bowiem miał.
Z piękną żoną co chcesz zrób,
Ty nie wlejesz światła w grób.

Zapłacz, zapłacz serca krwią,
Pusto pod twym dachem.
Trzeba było zabić ją,
Nim uciekła z gachem!

Mona Riccia (porywając się z miejsca).

Ktoś ty? Odpowiedz!

Scaramuccio.

Jeden z tych, coś zwiodła.
Tobie nie badać mnie, ale drżeć, podła!

(Mona Riccia chce chwytać za dzwonek. Scaramuccio wydziera jéj go z ręki.)

Stój! sami tylko zostaniem oboje...
Dzisiaj się spełni przeznaczenie twoje!

(Zdejmując maskę.)

Patrz!

Mona Riccia (przerażona).

Beppo!

(Cofa się parę kroków.)

Scaramuccio.

Tak jest... czekałem téj chwili.

(Wyjmuje nóż z pod płaszcza.)

Spójrz!... muszkiet myli, ale nóż nie myli.
Módl się!

Mona Riccia.

Co!?

Scaramuccio.

Módl się! bo ci się z tym światem
Żegnać już!

Mona Riccia.

Bracie!

Scaramuccio.

Nie jestem twym bratem.

Mona Riccia.

Czy to podobna!... Tybyś mógł!... To mylą
Mnie oczy...

Scaramuccio.

Módl się, niewierna!

Mona Riccia.

Przed chwilą
Wszak ci mówiłam...

(Załamując ręce:)

Już nie wiem co robię...
Szukałam Carla.... poleciłam tobie
Szukać...

Scaramuccio.

Za późno!

Mona Riccia.

Więc nieubłaganie
Chcesz?..

Scaramuccio.

Tak!... przysiągłem... i co bądź się stanie,
Zginiesz!...

Mona Riccia (z wykrzykiem rozpaczy).

Ratunku!

(Na krzyk Mony Riccii, Cini otwiera oczy i powoli podnosi się z fotelu.)

Scaramuccio.

Milcz, jak skamieniała,
Bo zginiesz, Bogu nie zleciwszy duszy!

Mona Riccia (padając na kolana).

Bracie mój!

Scaramuccio.

Módl się!

Mona Riccia.

I nic cię nie wzruszy?
Nic! mnie chcesz zabić, com cię tak kochała!...

Scaramuccio.

Ja ci tę miłość w piekle uprzytomnię!
Nie chcesz się modlić?... Giń!

(Rzuca się ku niéj ze sztyletem w ręku, Mona Riccia ucieka ku drzwiom na prawo i pada nawpół zemdlona na progu. W téj chwili Cini, który, powstawszy z miejsca, podszedł ku Scaramucciowi, chwyta go za ramiona i jednym rzutem ciska o ziemię.)

Cini.

Ty psie!

(Woła wielkim głosem ku drzwiom w głębi:)

Hej, do mnie!

(We drzwiach w głębi ukazują się żołdacy.)

Tu!

(Żołdacy rzucają się na Scaramuccia.)

Do lochu z nim!

(Żołdacy wynoszą Scaramuccia.)

SCENA X.

Cini, Mona Riccia, dwaj Żołdacy (za fotelem Ciniego).

Cini (siadając napowrót na fotelu).

Co to było?

Mona Riccia (przychodząc powoli do przytomności).

Czy ja
Wiem? Zbój!

Cini (mówi powoli i jakby bez świadomości, co się wkoło niego dzieje).

Savello rzucił się na stryja
I chciał go zabić, wołając nań: „Biada
Zdrajcom!...” Któż ten był?

Mona Riccia.

Napadł mnie znienacka,
Sztyletem groził mi, i gdyby nie to,
Że ty...

Cini.

Cesarscy wiedli pod Grosseto
Zasadzkę na mnie, ale ta zasadzka
Na złe im wyszła, bo krwawe wesele
Sprawiłem wszystkim. Było to w Niedzielę,
Jak raz Przewodnią, i kruki wspaniałą
Miały z ich trupów ucztę przez noc całą.

Mona Riccia (spoglądając na Ciniego).

On już zapomniał.

(Woła na niego:)

Cini!

Cini.

Strozzi Pietro
Miecz porwał i rzekł: „Mury miasta jękną,
Gdy ja powstanę! Biada! gdy się zetrą
Męże, pierś z piersią!”

(Pochyla głowę.)

Tak!

(Zasypiając powoli:)

Riccia!... tyś piękną!

(Zamyka oczy.)

Mona Riccia.

Już zasnął.

(Daje znak. Dwaj żołdacy wchodzą, i razem z tymi, którzy pozostali na scenie, wynoszą Ciniego z fotelem drzwiami na prawo.)

SCENA XI.

Mona Riccia, Salviati, Capponi.

(Salviati i Capponi wpadają do komnaty drzwiami w głębi, w rozweselonym humorze. Podczas całéj téj sceny ściemnia się powoli.)

Salviati.

Mono! przyszedł nam do głowy
Arcy-wyborny żart karnawałowy.

Mona Riccia.

Pewno szaleństwo.

Capponi.

Dzisiaj czasy, Mono,
Ciężkie, niełatwo dziś o myśl szaloną.

Mona Riccia.

Dajcie mi pokój, nie chcę, jestem chorą!
Pragnę być samą...

Salviati.

Ozdrowiejesz, skoro
Się dowiesz...

Mona Riccia.

Więc cóż?

Salviati.

Wierzaj, nam się roją
Cudowne myśli. Wiesz, że postać twoją
Rzeźbił Matteo; jeszcze nim cię Cini
Wziął, dał ci postać zwycięztwa bogini.

Mona Riccia.

Tak.

Salviati.

Tu się właśnie intryga zaczyna.
Jest we Florencyi od roku człeczyna
Jeden, poczciwiec, przyłóż go do rany,
A w twym posągu na śmierć rozkochany.

Mona Riccia (zaciekawiona).

Jakto?

Salviati.

Ha! może to uroków siła,
Lecz mu ta miłość tak w głowie utkwiła,
Że chyba z życiem utraci ją razem.
Oblicze jego blade i zmartwiałe;
Stoi na miejscu przez godziny całe,
W głaz zapatrzony, jakby sam był głazem.

Mona Riccia.

Dziwna!

Salviati.

Czasami, zdaje się, coś woła,
Dźwięki brzmią z wolna, lub suną się rączo,
Leją się w słowa, wikłają się, plączą,
Lecz nikt znaczenia zrozumieć nie zdoła.

Mona Riccia.

Ale cóż ja w tém?

Salviati.

Otoż więc rzecz cała:
Gdybyś posągiem ty, Mono, być chciała...

Mona Riccia.

Ja!?...

Capponi.

Pomyśl tylko... Cóż?

Mona Riccia.

Szalone głowy!

Capponi.

Cudnyżby to był posąg marmurowy!

Salviati.

I jakaż będzie tego człeka mina,
Gdy ujrzy, że się twarz posągu zmienia,
Że się porusza i mówić zaczyna!

Capponi.

Może się stanie sam jakby z kamienia.

Salviati.

Tymczasem wszyscybyśmy za zasłoną
Byli ukryci...

Capponi.

Nagle się jawiemy...

Salviati.

Całe szaleńców otacza was grono...

Capponi.

Ty — posąg, mówisz...

Salviati.

A on stoi niemy.

Capponi.

Krzyczymy: „Wiwat!”

Salviati.

Przynoszą puhary
I pijem wszyscy zdrowie młodéj pary.

Capponi.

No cóż?

Mona Riccia (uśmiechając się).

Ha, dobrze... W głowach się wam pali.

Salviati.

Kiedyż?

Mona Riccia.

Za dni trzy.

Salviati.

Gdzie?

Mona Riccia.

Tu, w wielkiéj sali.

Capponi.

Więc zgoda, wszyscy stawim się na słowie.

Salviati.

A teraz żegnaj!

(Wychodzą. Ciemno na scenie. Wchodzi służący, przynosi parę wielkich świeczników, stawia je na stole i wychodzi.)

SCENA XII.

Mona Riccia (sama, późniéj) **Lisa.**

Mona Riccia.

Ta igraszka, kto wie,
Może na chwilę choć mnie rozweseli.

(Dzwoni, wchodzi Lisa.)

Gdzie jest ten człowiek, co go tu ujęli?

Lisa.

W lochu.

Mona Riccia.

Ty jutro przypomnij mi o nim.

(Siada przed toaletą. Lisa zapala świeczniki z obu stron zwierciadła i poczyna zdejmować Monie ozdoby z głowy.)

Mona Riccia (ziewając).

My wszyscy nibyto za szczęściem gonim,
Ale gdzież ono?...

(Do Lisy:)

A cóż Girolamo?

Lisa.

Spoczywa.

Mona Riccia.

Mnieby zdało się to samo...
Spoczynek koi... Straszny dzień... Jak z nieba
Piorun.. Nie trzeba, by zginął... nie trzeba!

(Do Lisy:)

Słyszysz, przypomnisz jutro o tym...

(Urywa nagle.)

Lisa.

Słyszę.

Mona Riccia.

Niech żyje.

(Przysłuchuje się przez chwilę, jak gdyby chciała schwytać jakiś daleki odgłos.)

Cały już pałac legł w ciszę
Grobową...

(Wstaje i podchodzi do okna. Do Lisy:)

Otwórz!

(Lisa otwiera okno, przez które blask księżyca pada na scenę.)

Mona Riccia (spoglądając przez okno na miasto).

Księżycowa, blada
Noc... A i Guido... Wszystko się dziś składa
Na mnie... Ten mnich mi tak udręczył duszę...

(Wraca na fotel przed tualetę.)

Spokoju!... Kto mi go da?...

(Słychać trzykrotne stuknięcie do ukrytych drzwi.)

(Mona Riccia powstaje nagle, jakby wstrząśnięta dreszczem.)

On!

(Nakazującym głosem do Lisy:)

Idź!

(Lisa wychodzi. Mona Riccia pozostaje chwilę w postawie nieruchoméj. Na twarzy jéj znać wewnętrzną walkę. Nareszcie z wolna podchodzi ku drzwiom.)

Muszę!

(Odsuwa zasuwę. Drzwi z wolna się otwierają.)

(Zasłona spada.)

A K T III.

(Wielka sala w pałacu Cinich. Cała głąb sceny przysłoniona bogatą zasłoną. Drzwi z prawéj strony. Świecznik zawieszony u sufitu. Z lewéj strony robotnicy pracują przy estradzie, na któréj ustawiona jest podstawa posągu. Z obu stron estrady dwie nizkie kolumny. Trochę bliżéj estrady stół, na którym porzuconych jest kilka narzędzi rzeźbiarskich.)

SCENA I.

Griso, Battista, Nicolo i dwóch innych robotników.

Griso (powstając z kolan, z młotkiem w ręku).

Deska przybita.

Battista.

To mi szpak rozumny!
Wziął do przybicia ostatnią już deskę.

Griso.

Bo co?

Battista.

Kto wbija ostatni do trumny
Gwoźdź, ten mieć będzie zawsze pełną kieskę.

Griso.

Lecz to nie trumna.

Battista.

Kto wie?

Griso.

Mniejsza o to,
Jam się nie bardzo kwapił z tą robotą.

Nicolo.

Czemu?

Griso (pokazując na estradę).

To jakieś tam kuglarskie sprawy.
Nie jestem głupstw tych tak bardzo ciekawy.

Battista.

Toż nie dla ciebie; tam sami panowie.

Griso.

Wczoraj robota była co się zowie!

Nicolo.

Jaka?

Griso.

Schwytano w tym pałacu zbója,
I stawialiśmy szubienicę nową.

Battista.

Więc cóż?

Griso.

To dzielny widok, daję słowo
Kiedy wisielec w powietrzu pobuja
I pysk wykrzywi.

Battista.

Ot, głupie gadanie!
Chcesz zrobić cacko, buduj rusztowanie!
A tych stawiałem dość, choć się nie chwalę,
Kiedy cesarscy weszli do nas. Ale
Cóż szubienica i mizerya taka...
Zbój!?...

Griso.

W łeb narzędziem weź cienkiém czy grubém
Na pniu, na stryczku, z pala, czy też z haka,
Zawsze się spotkasz z kumem Belzebubem.

Battista.

E... coby mu tam przyszło z mojéj skóry?
(Odkrywa rękaw i pokazuje wychudłą rękę.)
Piękny dlań kąsek!...

Nicolo (pokazując na zasłonę).

Gdyby tak z tych który...

Griso.

Tożby Lucyper smagał go ogonem
I piekł na rożnie w sadle, wysmażoném
Z potu ludzkiego.

Nicolo.

A pal ich tam licho!
Jak psy się zgryzą o naszą kość...

Battista.

Cicho!
Idą...

SCENA II.

Ciż sami, Salviati, Guido.

(Za nimi wchodzą dwaj służący, niosąc dywany).

Salviati (wchodząc).

No i cóż? Skończona robota?

Griso.

Jak ulał... aż się świeci.

Salviati (przypatrując się estradzie)

Ta hołota
Szybko się zwija.

(Spogląda na zasłonę.)

Już nadchodzą goście.

(Do robotników:)

A wy czémprędzéj mi się ztąd wynoście!
(Robotnicy odchodzą. Salviati do służących:)
Kładźcie dywany!
(Służący przykrywają estradę dywanami i odchodzą.)
Na szatana rogi,
To będzie gracka uciecha!
(Do Guida:)
Mój drogi,
Powiedz sam...

Guido.

Mówię.

Salviati.

Wszystko przewidziano:
Tutaj stawiłem dwie lampy za ścianą,
I dwóch służących, posłusznych skinieniu,
Więc posąg będzie w świetle, albo w cieniu,
Jak nam wypadnie, a pokryte mglistą
Wszystko zasłoną... Ale ty, artysto,
Jakoś nie czujesz piękności i blasku
Artystycznego tego wynalazku?

Guido.

Powiedz mi, co ma do czynienia sztuka
Tam, gdzie szał płochy żeru dla się szuka?

Salviati.

Co mówisz?

Guido.

Mówię, że rozumiem wiele,
Bo jestem młody, tak jak i wy młodzi;
Ale ohydne to wasze wesele...
Drwić się z biednego szaleńca nie godzi.

Salviati.

Więc po co jesteś tu z nami?

Guido.

A po co...
Ty lunatyka spytaj, który nocą
Chodzi i szuka swéj drogi bezwiednie,
A chociaż przepaść tuż przed nim... nie blednie!
Takim ja... błądzę z myślą niewesołą,
Czuję, że podłość otacza mnie wkoło,
Że krocie głupców i próżniaków fale,
Lgnąc około mnie, nurzają się w kale,
Wiją się, śmieją, ucztują i krzyczą,
Zwiększając ciągle ciżbę niewolniczą.
Czuję, że pod tą serc rozpustą podłą
Krew krzepnie, schnie duch, życie się rozwiodło—
A jednak w sobie nie mam dosyć siły,
Żeby się żywym dobyć z téj mogiły.

Salviati.

Krzyk grozy, który wydały twe usta,
Jest jako bańka, świecąca, a pusta.

Guido.

Tyś rzekł... i w całym tym światowym szale
Sobą najbardziéj może gardzę. Ale
Za czyny, co się tutaj w mózgu roją,
Jeszczebym oddał ostatnią krew moją.
Nie brakłoby mi odwagi i męztwa,
Gdyby nadzieja mogła być zwycięztwa;
Lecz po zwycięztwie, sambym w téj kałuży
Szukał już śmierci, nie mogąc żyć dłużéj!

Salviati.

Czemu?

Guido.

Bo podłość, z gnijącém obliczem,
Czepia się ludzi, jak czarna zaraza.
Wypiętnowana raz na sercu zmaza,
Nigdy nie zejdzie, nie zmaże się niczém,
I kto raz dotknie téj obrzydłéj strawy,
Musi umierać bez sił i bez sławy,
Z rozdartém sercem, z bolejącą duszą,
Z wspomnieniem hańby, któréj nic nie zetrze.
(Po chwili milczenia:)
Dziś we Florencyi ciężkie jest powietrze,
Wszystkie jéj dzieci podłemi być muszą!

Salviati.

Człowieku! czemu trujesz życie jadem,
Gdzieś wydobytym z pod grobowych zgliszczy?...
Patrz!... wszystko żyje, używa i błyszczy;

My dziś na świecie królowania dyadem
Posiedli; idziem z podniesioną głową,
Idziem na czele tych, co świat prowadzą.
Czemuż pogardzać tą siłą i władzą
Dla słowa?... Marzeń cel twoich, to słowo;
Ono brzmi pięknie gdzieś w echu dalekiém,
Lecz nie ożyje... człowiek jest człowiekiem.

Guido.

W tém słowie leżą prawd wielkich otchłanie,
Bowiem miliony ludów wstają za nie.

Salviati.

Tak... idą naprzód, krwawią się, i siłą
I wraz padają...

SCENA III.

Salviati, Guido, Maska (w dominie).

Maska (wchodząc).

Czart z tobą, Troilo...

Salviati (oglądając się za nią).

A tak... tyś przyszła?

Maska.

Bo czuję woń świeżą
Miłostek. Między florencką młodzieżą
Tyś jest podczaszym uciech, a ja usty
Pragnę się dotknąć téj czary rozpusty.

Salviati.

To idź w tłum... ot tam!

(Wskazuje na zasłonę.)

Maska.

Jam sama wśród tłumu.

Salviati.

Gachowie twoi przyszli do rozumu
I opuścili ciebie?

Maska.

Jam kochała
Jednego.

Salviati.

Wdzięcznéj téj miłości strzała
Z jakiegoż wyszła kołczanu?

Maska.

Z ołtarza
Wielkości, która stoi, gdy się tarza
Wszystko w proch przed nią.

Salviati.

A więc, piękna pani,
Cóż tak okrutnie serce twoje rani?

Zkąd na mnie słowo to gniewu złowieszcze?
Uszedł ci jeden, znajdziesz wielu jeszcze...

Maska.

Bo za pobudką twoją, całą zgrają
Nam ladasznice książąt zabierają.

Salviati.

Tyś jest Francesca Bardi?

Maska.

Tak.

Salviati.

Więc po co
Tu przyszłaś?

Maska.

Wczoraj książę bawił nocą
U Mony Riccii.

Salviati (wzruszając ramionami).

Być może.

Maska.

Przychodzę,
Bo mnie to wszystko niepokoi srodze.

Chcę go odebrać jéj, i jeśli można,
Zemścić się krwawo.

Salviati.

Zemsta rzecz niezdrożna,
Ale wierzaj mi, krew nie jest jedyną
Zemstą, i lepiéj kiedy płynie wino,
Niż krew.

Maska.

Dla marnych dusz.

Salviati.

Ha!... i to bywa...
Wino jest życiem, krew śmiercią... tyś żywa!

Maska.

Więc co mi radzisz?

Salviati.

Czekaj tam!

Maska.

A rana
Krwawi!

Salviati (pokazując na zasłonę).

Tam czekaj! rola już posiana.

(Maska wychodzi za zasłonę.)

SCENA IV.

Salviati, Guido.

Guido.

Teraz się pysznij i chwal własne dzieło!
Widmo Florencyi przed tobą stanęło.

Salviati.

Nie takie ono straszne!

Guido.

Ta zasłona
Kryje plugawą wielkość waszą.

Salviati.

Mona!

SCENA V.

Ciż sami, Mona Riccia (wchodzi cała przybrana w bieli).

Mona Riccia (wchodząc).

Jestem.

Salviati.

A dobrze, lecz późno, czas goni,
Trzeba pośpiechu.

Mona Riccia.

A gdzież on?

Salviati.

Capponi
Go tu sprowadzi i przejdzie naokół
Galeryi.

(Pokazując na estradę:)

Oto twéj wielkości cokół.

Mona Riccia (wchodząc na estradę i oglądając podstawę).

Iście, by wystać tutaj, trzeba męztwa.

(Do Salviatego, wchodząc na podstawę:)

Jak się ułożę?

Salviati.

Jak posąg zwycięztwa.

Mona Riccia (drapując się).

Czy dobrze?

Salviati.

Cudnie!... już od razu wszystko
Odgadłaś... Mono, ty jesteś artystką
Wielką!...

Mona Riccia.

Pochlebco!

Salviati (do Guida).

Prawdziwie wspaniała!
Ten wdzięk niewieści i ta gibkość ciała
Urocze!

Mona Riccia.

Przestań.

Salviati (z coraz większém ożywieniem).

Wyrzeknij dwa słowa,
Albo przynajmniéj chciéj mi wskazać gestem,
Że mogę zyskać wzajemność...

Mona Riccia (nawpół poważnie, nawpół żartobliwie).

Ja jestem
Posągiem!...

Salviati (odsuwając się na dwa kroki, z ironicznym uśmiechem).

Wybacz, wasza marmurowa
Cześć!

(Uderzając się w czoło:)

Ale byłbym zapomniał. Wiesz, Mono,
Ten co tak błazna wybornie udawał,
Ten... Scaramuccio... to był łotra kawał!
Z wyroku sądu już go powieszono
Wczoraj.

Mona Riccia (czyni poruszenie).

Ha!...

Salviati.

Co to?

Mona Riccia.

Nic!

(Na stronie:)

Jam zapomniała!...

Beppo!

Salviati.

No, stójże!... zatraci się cała

Postawa.

(Układa ją.)

Ot tak... z swobodném obliczem.

(Przysłuchując się:)

Już słychać kroki. Nie zdradźże się niczém,
Spojrzeniem, ruchem lub sukni szelestem...

(Odchodzi parę kroków, przypatrując jéj się przez chwilę i nasuwa zasłonę muślinową.)

A my na miejsce... Pójdź, Guido!

(Salviati i Guido znikają za zasłoną.)

SCENA VI.

Mona Riccia, Carlo.

(Drzwi na prawo otwierają się, ukazuje się w nich Carlo i staje przez chwilę w postawie nieruchoméj, jakby olśniony.)

Carlo.

Gdzie jestem?...

(Podchodzi parę kroków.)

Salon... blask jakiś światła...

(Spogląda w głąb.)

Tam zasłona!...

(Zwraca się ku estradzie.)

A tutaj...

(Lampy nagle oświecają postać Mony Riccii, która, spostrzegłszy Carla, drgnęła, ale pozostaje nieruchomą.)

Boże wszechmocny! to ona!...

(Wpadając w obłęd, mówi urywanie, gorączkowo:)

Tak jest... tyś chciała... Złoto... co tu złota!...
Znajdę je!... Wydrę!... chociażbym miał z piekła
Wydobyć!... Crispi... skończona robota...
Do matki Crecyi... powrócę...

(Z krzykiem rozpaczy:)

Uciekła!

(Zakrywa twarz rękami, po chwili opuszcza je i mówi spokojniéj:)

Gołąbko moja! wszakżeś ty mi była
Jedyném dobrem i szczęściem! Sierotą
Cię wziąłem, a tak kochałem... Patrz, oto
Naszego domku ściany rdza pokryła,

W oknach mgła... słońce zgasło... tak tam ciemno!...
Gdzieżeś ty?... Boże co się dzieje ze mną?

(Chwila milczenia. Lampy za estradą zmniejszają światło z wolna.)

Jam cię tak kochał!... Czy pamiętasz?... Wiosną,
Gdy lśnią na kwiatach perły rosy duże,
Chodziłem zerwać najpiękniejszą różę
Do twoich włosów... Róże już nie rosną
Tam... zwiędły wszystkie... szron powłoką białą
Zmroził je... z niemi szczęście powiędniało...
Mróz je zwarł... Jakeś ty mogła, Paolo,
Tak mnie porzucić i to jeszcze w chwili,
Gdy...

(Lampy za estradą gasną, Carlo porywa się nagle jednym rzutem.)

Gdzie jest żona?... Żonę mi zabili!...
Podli!... Oddajcie mi ją!... Czy słyszycie?...
Nie lękacie się, że was ogień spali
Niebios?... Przeklęci!... wyście mi zabrali
Całą krew moją, i duszę, i życie!...

(Ze straszliwym wykrzykiem:)

Gdzie jest Paola?... gdzie jest moja żona?...

Mona Riccia (z estrady).

Carlo!

Carlo.

Czyj to głos?

SCENA VII.

Carlo, Mona Riccia, Salviati, Capponi, Pazzi, Maska, Panowie i Panie, Paziowie, Służba.

(Odchyla się zasłona w głębi. Widać salę rzęsiście oświeconą. Liczne grono panów i pań. Panie w maskach, panowie bez masek. Wszyscy trzymają puhary w ręku. Muzyka i tańce. Mona Riccia ukazuje się przed estradą i opiera się o jedną z kolumn. Carlo stoi, jak gdyby osłupiały.)

Salviati (śpiewa).

Miał Pietro dwa dzbany,
Tu pijak, tam mąż;
Był wiecznie pijany
I kochał się wciąż.
Do niego raz w gości
Bogaty szedł pan,
I dzban wziął miłości,
Miłości wziął dzban!

Chór (powtarza).

I dzban wziął miłości,
Miłości wziął dzban!

Salviati (śpiewa).

Więc wszędzie się słania
I tonie we łzach,

I szuka kochania,
  Co zabrał mu gach.
Ej Pietro, siedź cicho,
  Połknąłeś już kość:
Kochanie pal licho,
  Masz wino—to dość!

Chór (powtarza).

Kochanie pal licho,
  Masz wino—to dość!

Capponi.

To mąż jéj!

Pazzi.

Patrzcie!

Salviati.

Jak z Dekamerona
Powieść.

Maska.

Tak cnota na świecie zwycięża!

Salviati (do pazia).

Léj wino! męża odnalazła Mona!

Maska.

Hej! zdrowie Mony, która miała męża!
Niech żyją! wino niech się leje strugą!

Capponi.

Wiwat!

Carlo (który przez ten czas stał jakby nieprzytomny i niezdający sobie sprawy z tego, co się koło niego dzieje, budzi się nagle, jakby z uśpienia).

Tyżeś to Paolo?... tak długo
Czekałem!...

Salviati.

Czekał na nią!... Zuch!... aż miło
Słuchać.

(Do Carla:)

No, widzisz, znalazła się strata,
Masz ją!...

Capponi.

A dzielny chłopak i dziewoja
Piękna!

Pazzi.

Złączmy ich!

Maska (popychając Carla do Mony Riccii).

Weź ją, ona twoja.

Carlo (odtrącając maskę).

Precz!

(Do Mony Riccii:)

Spojrzyj na mnie: ciało się zgarbiło
I włos posiwiał... To tylko dwa lata...
Dwa lata... wieczność... a o szczęściu roją
Ludzie. Jam stary, tyś młodością moją
Była.

Salviati.

No, teraz ona już z powrotem:
Ciesz się.

Mona Riccia.

Boże mój!

Carlo (jakby nie słysząc tego, co do niego Capponi mówił).

Czy uwierzysz? Z razu...
Chciałem cię zabić.,. śmierć za śmierć... lecz potém
Czułem, że ręka woli méj rozkazu
Słuchać nie będzie, a więc szedłem w drogę
Za tobą... Widzisz, jam słaby... więc mogę
Kochać cię tylko.

Chór.

Kochanie pal licho,
Masz wino—to dość!

Carlo (gorączkowo).

Milczysz?... czy ty duszy
Nie masz?... Ratuj mnie! Niczże cię nie wzruszy?...
Nic... nic!...

Salviati.

No, Mono, nie dajże się prosić,
Idź z nim, będziecie się kochać, to dosyć.

Capponi.

Róże ci zniesie.

Maska.

Opowiesz przez drogę
O sobie.

Carlo (coraz silniéj wzburzony).

Słowo!... mów!... mów!... mów!...

Mona Riccia (z rozpaczliwym wysiłkiem).

Nie mogę!

Carlo (wpadając stopniowo w obłęd).

Nie... więc...

(Z nagłym wykrzykiem:)

Kobieto! która duszę moją
Zabiłaś!

(Oglądając się:)

Co to? Kto są ci, co stoją
Tam?

(Ze wzrastającym obłędem:)

Ćmi się w oczach... nie ma już jéj! Nieba!
To posąg!... posąg!... posąg!...

Salviati (do Pazziego).

Pazzi, trzeba
Go już ztąd zabrać.

Carlo (z rosnącą wściekłością).

Tak, to posąg.... siłą
Nieczystą z martwéj wykowany skały!
Tam nie ma życia, tam duszy nie było,
Tam żadne ludzkie uczucia nie drgały...
Gdzieś w głębi pieczar, pod opoką ciemną,
On spał, odwiecznym przysypany pyłem;
Jam go wygrzebał... niech runie wraz ze mną!
Więc giń!...

(Porywa młot ze stołu i uderza nim Monę Riccię w głowę. Mona Riccia pada).

Salviati (rzucając się do Carla).

Szaleńcze!

Carlo.

Co? posąg rozbiłem!

(Wybucha konwulsyjnym śmiechem i pada na ziemię. Orkiestra z daleka powtarza śpiew z pierwszego aktu. Dźwięki słabną i gasną. Zasłona spada powoli.)

OSTATNIA PRÓBA.

OBRAZEK DRAMATYCZNY W JEDNYM AKCIE.

OSOBY:

PANI MILESKA. DOKTOR.
HELENA. LEON.

(Pokój bawialny, kanapa, krzesła, dwa stoliki, biurko, drzwi w głębi, drzwi z prawéj strony, z lewéj strony okno. Przy lewéj kulisie z przodu sceny klęcznik z zawieszonym nad nim obrazem Najświętszéj Panny Maryi. Z prawéj strony na ścianie portret mężczyzny w średnim wieku.)

Rzecz dzieje się w Warszawie, w mieszkaniu pani Mileskiéj.

SCENA I.

Helena, Leon.

Helena siedzi zajęta ręczną robotką z jednéj strony sceny, z drugiéj Leon przewraca machinalnie kartki albumu na stoliku.

Leon.

Tak... niewątpliwie tego za dużo;
Ciągłe przyjęcia, zabawy, bale
Mogą być dobre, lecz w końcu nużą
Panią... nie prawdaż?

Helena.

Ale ja wcale
Nie mówię tego.

Leon.

A mnie to smuci...
Niech inni suknię wdziewają pawią,
Gdy ich stać na to; lecz my, bankruci
Spuścizny przodków...

Helena.

Kiedy się bawią,
Widać, że im z tém dobrze.

Leon.

Niestety!
Według dawnego przodków zwyczaju,
Mężczyzni stali u progu kraju,
A progu domu strzegły kobiety.
Na tém się u nas snuła kołyska
I grób. Mąż zeszedł ze stanowiska,
Ale kobieta jeszcze z wytrwaniem
Stoi...

Helena.

Pan sądzisz tak?

Leon.

Lecz czy na niém
Zostanie długo?

Helena.

Pan temi słowy
Na mężów wyrok głosisz surowy.

Leon.

Lecz zasłużony. Dopusty Boże
Nie próżno karcą naród...

Helena.

Być może.

Leon.

Więc któż to weźmie za złe, lub zgani,
Jeśli kobieta, taka jak pani,
Widząc, jak męzkich porywów tęcza
Dziś w drobnych zachceń kąpie się bagnie,
Tak się od świata z wolna odstręcza
I sama w sobie zamknąć się pragnie?

Helena.

Ja?

Leon.

Tak jest zwykle, kiedy nie stało
Już ideału, za którym gonim...

Helena.

Mam doświadczenia świata zbyt mało,
Bym mogła sądy wydawać o nim.

Leon.

Czy szczerze?

Helena.

Szczerze.

Leon.

Chciéj pani zatém
Powiedzieć: czém to tłómaczyć można,
Żeś zwykle w słowach taka ostrożna
I taka chłodna z ludźmi?

Helena.

Ze światem
Mało mnie wiąże.

Leon.

Tak, lecz jeżeli
Prawdę mi pani wyznałaś szczerą,
Toż przecię tobie w życie dopiero:
Wszystko, co nęci, bawi, weseli,
Masz na rozkazy; zaledwie nogą
Wstąpiłaś w ułud świata podwoje;
Czémże cię one odstręczać mogą?

Helena.

Usposobienie już takie moje.

Leon.

Na to mógł wpłynąć jaki przedwczesny
Sąd o nas, lub....

Helena.

Lub?

Leon (po chwili milczenia).

Zawód bolesny.

Helena.

Dziwna ta sądu pańskiego miara!
Jestem zbyt młoda, albo zbyt stara.

Leon (z wybuchem).

Bo...

(Miarkując się:)

Ale czyliż nie widzisz, pani,
Że tą powłoką swoją lodową
Gnębisz mi duszę, że każde słowo
Twoje, boleśnie serce mi rani.

Helena.

Lecz panie...

Leon.

Że gdy zobojętniała
Myśl twa zespolić ze mną się lęka,
Rwie się ku tobie istność ma cała
I dusza moja przed tobą klęka.

Helena.

Ależ...

Leon.

Że kocham ciebie, bo muszę;
Bo wszystkie inne kobiety bledną
Przy tobie; bobym zaprzedał duszę
Za jeden uśmiech, mgnienie ócz jedno!

Helena.

Chciéj...

Leon.

W tém uczuciu, co we mnie płonie,

Wszystko się trawi i wszystko ginie,
Jak gdyby Bóg mnie stworzył jedynie
Dla ciebie tylko...

Helena.

Panie Leonie!
W życiu mém prawdy wytknąwszy drogę,
Udawać nie chcę, kłamać nie mogę;
Więc gdybym śmiała, choćby w dalekiém
Marzeniu, serce łamać na dwoje,
Jedynym może byłbyś człowiekiem,
Z którymbym losy złączyła swoje.
Wierzaj mi... jestem w téj chwili szczera,—
I gdybym mogła być ci wzajemną...
Lecz coś strasznego ciąży nade mną...
Mnie tutaj duszno... wszystko zamiera
We mnie... jak gdyby życie w otchłani
Tonęło całe...

Leon (rzucając się ku niéj).

Heleno!... Pani!...

Helena (po chwili, spokojniéj).

To nic... zdarzają się takie chwile
U mnie, gdy zmęczę się lub wysilę;
Trudno być znowu, ot tak, bez przerwy
Zdrową... Cóż pan chcesz?... ciało jest kruchém,
Bo my kobiety, choć silne duchem,
Jak pan powiadasz, cierpim na nerwy.

Leon.

To ja — rozmowy nieszczęsnym zwrotem
Sprawiłem...

Helena (usiłując spokojnie mówić).

Niech pan zapomni o tém.
I lepiéj będzie, gdy słowa swoje
Puścisz w niepamięć, i tak zostanie
Nadal, jak było; a chciéj mi, panie,
Wierzyć, zyskamy na tém oboje.

Leon.

Więc nigdy? nigdy!

Helena.

Cóż panu powiem?...

Leon.

Boże! Te słowa jakby ołowiem
Ciążą nade mną!

Helena.

Co jest w méj mowie
Niejasném, przyszłość panu wypowie.
(Smutno:)
Może też ona niezbyt daleka...

SCENA II.

Ciż sami. Pani Mileska

(ukazuje się we drzwiach z prawéj strony).

Pani Mileska.

Heleno! doktor na ciebie czeka.

Helena.

Idę już, idę.

(Żegna Leona lekkiém skinieniem głowy i wychodzi.)

SCENA III.

Pani Mileska, Leon.

Pani Mileska.

Jakże?

Leon.

Ach pani!
Jestem w rozpaczy! jam tą rozmową
Zabił się...

Pani Mileska.

A więc żadnego na niéj
Wrażenia?

Leon.

Żeby choć jedno słowo
Nadziei! choćby cień!... ale owszem,

Na uczuć moich szczere zaklęcie
Oblicze jéj się stało surowszém,
Jakby wstręt do mnie czuła.

Pani Mileska.

O wstręcie
Nie ma tu mowy; tego jéj chłodu
W czém inném szukać trzeba powodu.

Leon.

Czyż ja wiem? Pani, już rozum tracę...
W téj ciągłéj walce, w wahaniu ciągłém
Wszystko, co z młodu czcić zaprzysiągłem,
Siłę czujności o każdéj dobie
I całą ducha mojego pracę
Zaprzepaściłem na zawsze w sobie;
Wszystko, com w życiu obrał za hasło,
W jedném się czuciu zwarło i zgasło.

Pani Mileska.

Pan bierzesz rzeczy zbyt rozpaczliwie.

Leon.

To panią dziwi?

Pani Mileska.

Ja się nie dziwię,
Lecz tylko twierdzić śmiem, że jeżeli
Serce kobiety wieczną zagadką,
To ci, którzy je zbadać umieli,

Mówią, że zawsze cierpliwość matką
Jest powodzenia.

Leon.

Tak... gdy powoli
Nastawia sidła miłość zdradziecka;
Lecz gdy to serce jest jak u dziecka
Szczere...

Pani Mileska.

A czyż to i mnie nie boli?
Czyliż pan sądzisz, iż obojętnie
Patrzę, jak kwiat mój usycha z wolna?
O! gdybym tylko mogła być zdolna
Rozbudzić w każdém jéj serca tętnie
Coś z mego życia, dałabym szczerze
Resztę dni moich dla niéj w ofierze!

Leon.

Tak... jesteś matką.

Pani Mileska.

I z téj przyczyny
Bezsilność moja srożéj mnie rani;
A więc widziałam środek jedyny
W jéj przychylności ku tobie.

Leon.

Pani!
Gdybym mógł wierzyć...

Pani Mileska.

Toż sama przecię
Jestem kobietą, wiem, że w kobiecie
Dla tego, który wśród innych ludzi
Wyższością ducha opromienieje,
Łatwo zajęcie żywsze się budzi,
Przyjaznych uczuć dając nadzieję.
A pośród ciżby téj salonowéj,
Gdzie próżno szukać serca lub głowy,
Pan się wyróżniasz.

Leon.

O! już nie teraz,
Pani! czas przeszedł. Marzyłem nieraz
Że ze mną, w życia gdy pójdzie w drogę
To czyste dziewczę, ten duch gołębi,
To śmiało złemu zajść w oczy mogę,
Bo męztwa we mnie nic nie wyziębi.
A dziś....

SCENA IV.

Ciż sami, Doktor.

Doktor (wchodząc drzwiami z prawéj strony).

We dwoje gruchacie sobie:
No, widzę, lekarz w takiéj chorobie
Już niepotrzebny...

Pani Mileska.

Zawsze, doktorze,
Zartowniś z ciebie...

Doktor.

Bo też w złéj porze
Widać przychodzę, gdyż pan i pani
Jakoś mi strasznie zanimowani;
A więc powiadam, nie żartem wcale,
Że ot młodzika, pożal się Boże,
Pani prowadzisz wprost na bezdroże.

Pani Mileska (uśmiechając się).

Ależ doktorze...

Doktor.

Tu nie ma ale.
A toż doprawdy, to biedne chłopię
Wygląda jakby mucha w ukropie.
A czy to wiele mu się należy?
Wszak to egzemplarz naszéj młodzieży,
Niby wygląda składnie i ładnie,
Lecz dmuchnij tylko silniéj, a padnie.

Leon.

Co też pan mówisz?

Doktor.

Prawdę i oto!
Cóż wy myślicie, słabi i mali,
Że wyrównacie męzką ochotą
Ojcom, ulanym z spiżu i stali?

Leon.

Cóż my w tém winni?

Doktor.

A wasza wina
Najczystsza. Ot co! ledwie chłopczyna
Jaki zdoła się dobyć z pieluszek,
Już futro na grzbiet, a pas na brzuszek;
Lada kaszelku lęka się sprośnie,
A gimnastyki ani w ząb; tedy
Z takiego malca i cóż wyrośnie?
Człek z kośćmi z gipsu, a ciałem z kredy.

Leon.

Może masz słuszność; lecz jakaż rada
Na to?

Doktor.

A żadna. Cóż ztąd wypada?
Że już z was każdy, to istna baba,
Bo w słabém ciele tkwi dusza słaba;
Brak wam młodości; za panie bracie
Każdyby dawał naukę ojcu;
Jesteście trzeźwi, jak kury w kojcu,
Tylko na ruble z kąta czyhacie.

Leon.

Wiem, wiem, doktorze! z najlepszéj woli
Chciałbyś uzdrowić to, co nas boli;

Lecz auskultując zbolałe ciało,
Widzisz część prawdy, ale nie całą.
Ludzkość podąża naprzód. Po drodze
Może się znajdzie nie jeden zatór;
A ty, *temporis acti laudator*,
Wydajesz sądy surowe srodze.
A więc leniuchów ślimaczą zgraję
Pomiataj, budź ich, zwołuj do pracy;
Jednak bądź pewien, że są i tacy,
Którzy w coś wierzą i coś kochają.

Doktor.

Nie przeczę, ale tylko też tyle;
Tym kochającym tak brak na sile,
Że każdy taki mocarz, za lada
Szkopułem, już się chwieje i pada.
Zkądże to? Mówi zdrowy rozsądek,
Że w człeku ważne są dwa działacze:
Jest serce, które Bóg wie jak skacze,
I regulator ciała, żołądek.
Otoż z tém sercem, to zwykle bieda,
Bo ono w karby ująć się nie da,
Nieraz nam samym stanie okoniem,—
Najlepiéj, kiedy nie wie się o niém.
Ale żołądek, mój panie młody,
W tém grunt, by wszystko miał w swoją porę;
Tysiączne tego mamy dowody:
Żołądek chory, to ciało chore,
Istność się ludzka rozstraja cała,
Serce źle bije i mózg źle działa.

My, w niedołęztwie naszém bez granic,
Zatraciliśmy żołądki na nic,
A społecznego złego kto szuka,
Tam je odnajdzie. W tém cała sztuka;
Niech ludzie patrzą, jeśli ciekawi:
Gdy żołądkowa sprawa osłabła,
Człowiek źle trawi, naród źle trawi,
To i społeczność idzie na dyabła.
Pilnuj żołądka, będziesz jak ryba
Zdrów i swobodny. A teraz chyba
Wszystkom ci odkrył, według sumienia,
O téj społecznéj naszéj chorobie;
Że zaś mam z panią do pomówienia
Wprost, osobiście, ruszaj precz sobie
I basta.

Leon (zwracając się do pani Mileskiéj z ukłonem).

Pani...

Pani Mileska.

Wstąp pan z powrotem;
Może obszerniéj pomówim o tém.

SCENA V.

Pani Mileska. Doktor.

Pani Mileska.

No, i cóż?

Doktor.

A nic.

Pani Mileska.

Bójże się Boga,
Doktorze! widzisz, jak z niepokojem
Czekam, żeby się o zdaniu twojém
Dowiedzieć.

Doktor.

Zkądże znów taka trwoga?
Strasznego nie ma nic.

Pani Mileska.

A dokładnie
Zbadałeś?

Doktor.

Zbadać! Wielkie mi chryje!
Ale u dziewcząt kat tam odgadnie,
Co w ich serduszek głębi się kryje.

Pani Mileska.

Ale czy zdrowa?

Doktor.

Gdy o tém mowa,
To powiem: zdrowa, lecz i nie zdrowa.

Pani Mileska.

Nic nie rozumiem.

Doktor.

I bardzo wierzę.
To też pomówmy ze sobą szczerze,
Bo chciałbym kwestyą na ten raz zbadać
Jak najdokładniéj. Z was, moje panie,
Pewno najlepsze matki na świecie:
Uczycie córki od dziecka gadać
W kilku językach, na fortepianie
Grać, śpiewać, tańczyć i pakujecie
Mnóstwo głupstw nieraz w ich biedne głowy,
By dobrze znały tór salonowy.
Jeżeli przytém, co nie zawadzi,
Wiara i cnota będą ich hasłem,
To wychowanie poszło jak z masłem
I niech Bóg radzi o swéj czeladzi;
Jakiś kawaler w dom wasz zawita,
Pokocha, weźmie pannę, i kwita.
Ale czy wy się kiedy troszczycie,
Jakie tam będzie to dalsze życie?
Że gdy szczęśliwie już się pobrali,
A przyjdzie na świat im pierwsze dziecko,
To już choroba czycha zdradziecko
I biedną matkę na łoże wali.
Bo z tych chowanych przez was paniątek
Mężatka zdrowa, to już wyjątek.

Pani Mileska.

Cóż mamy czynić?

Doktor.

Do stu tysięcy!
Mniéj cenić głupstwa, a zdrowie więcéj.
Bo te ślęczenie ciągłe, bez przerwy,
Nad książką, i ta wasza chudoba
Francuzko-pańska, rozstraja nerwy;
A, panie, nerwy to psia choroba!
Jak się bestyjstwo raz już rozplemi,
To czart do ładu nie trafi z niemi.

Pani Mileska.

Więc mówisz?

Doktor.

Mówię, że córka twoja
Jest wcale sobie miła dziewoja,
Dobra, rozumna, wzór łagodności,
Ale nerwowa do szpiku kości.

Pani Mileska.

I jakaż rada na to?

Doktor.

Ha! rada
Prosta: za mąż ją wydać wypada;
Bo to, mosanie, latka wciąż biegą,
A przy tém grozi...

Pani Mileska.

Co grozi? Dreszcze
Mnie już przejmują... mów!

Doktor.

Niéma jeszcze
Czego się lękać, nic tak strasznego;
Lecz chociaż dzisiaj stan niby zdrowy,
Kto może zgadnąć, co się rozwinie?
Pani wiesz, że tkwi w waszéj rodzinie,
Dziedzicznie, obłęd ów umysłowy,
Który przechodzi z ojca na syna,
A melancholią się rozpoczyna.

Pani Mileska.

O, nie mów tego doktorze!... Ile
Cierpiałam! Straszne to były chwile,
Gdy mąż mój... kiedy dla ludzkiéj duszy
Już się za życia kopie mogiła,
A cała męzka wola i siła
W jednéj się chwili łamie i kruszy...
Lecz przecie u niéj, doktorze drogi,
Zarodu złego nie ma?...

Doktor.

Na Bogi!
Mówię, że nie ma, lecz trzeba zmiany,
A zmianę da jéj żywioł nieznany;
Choć to mąż, jak się Bogu podoba,
Czasem lekarstwo, czasem choroba.

Pani Mileska (załamując ręce).

Boże mój, Boże!

Doktor.

Oto lekarzy
Zapytaj pani, jak wiele znaczy
Imaginacya. Czasem się zdarzy,
Do człeka jakiś bzik się zahaczy,
Nie przymierzając, że palec boli...
I ten ból do łba wlezie mu klinem;
Będzie rozmyślał wciąż, aż powoli,
Nieznacznie, słowo stanie się czynem
I już sam Bóg wie, z jakiego kąta
Nerwów do palca ból się przyplątа.
Ot co!

Pani Mileska.

Dziwni wy ludzie, doktorzy!
By uspokoić, straszycie gorzéj.

Doktor.

Ja tutaj wcale pani nie straszę,
Ale mówiłem, że dzieci wasze,
Jakby umyślnie prawie, od młodu
Rozstrój nerwowy czerpią z zarodu.
A potém wszystko tak się już gmatwa,
Że nie rozplączesz, i złe zdaleka
Nurtuje.

Pani Mileska.

Za mąż!... czyż to rzecz łatwa?
Powiadasz: za mąż... szukaj człowieka,
Któremu zwierzyć mógłbyś z spokojem.

To, co jedyném szczęściem jest twojem,
Kiedy wokoło dzieci, lub starce,
A mężów nie ma.

Doktor.

Mnie nic do tego,
Ale powtarzam, że latka biegą,
A nerwy straszne sprawiają harce.

Pani Mileska.

Na miłość Boską, kochany panie,
Chcę wiedzieć prawdę!

Doktor.

No... przekonanie
Chcesz mieć tak, czyste, pewne, zupełne?...
A więc nie będę słów swych w bawełnę
Owijał. Jest źle... jaką chcesz siłą,
Pod jakim ci się podoba kształtem,
Ale zrób, by się wszystko zmieniło,
I z téj apatyi wyrwij ją gwałtem;
Bo ci powtarzam, gdy się w dziewczynie
Jéj naturalny popęd rozwinie,
To na chorobę taką przeklętą
Już nie pomoże rumianek z miętą.

Pani Mileska.

Więc radzisz?

Doktor.

Radzę za mąż i kwita,
Zaś pani o tém jak chcesz już rokuj.
A teraz chciéj mi dać święty pokój,
Bo na mnie pilna czeka wizyta,
A tu na darmo czas się zmitręża.
Więc... do widzenia.

(Wychodzi drzwiami w głębi, nagle zwraca się, wychyla głowę z po-za drzwi i mówi:)

A szukaj męża!

(Wychodzi.)

SCENA VI.

Pani Mileska (sama).

W dziwnym on rady daje sposobie...

(Po chwili namysłu.)

Trudno, ja matki powinność zrobię,
A wola Boga niechaj się stanie.

SCENA VII.

Pani Mileska, Helena.

Helena (ukazuje się we drzwiach na prawo).

Czyś sama, mamo?

Pani Mileska.

Sama, kochanie.

Helena.

Jakiś nerwowy rozstrój mnie trzyma
Dziś przez dzień cały; chciałam czytaniem
Rozerwać myśli, lecz przed oczyma
Migają zgłoski.

Pani Mileska.

A więc zostaniem
Razem, i będzie właśnie na dobie,
Bo chcę słów parę powiedzieć tobie.

Helena.

Ze mną... chcesz mówić?

Pani Mileska.

A tak, panienko.
Chcę zajrzeć w serca twego okienko
I zbadać, jaką też ono pracą
Zajęte, nawet złajać cię.

Helena.

Za co?

Pani Mileska.

Zobaczysz.

(Helena siada przy matce, pani Mileska bierze ją za obie ręce.)

Dziwnie zimne masz dłonie.

(Wpatruje się jéj przez chwilę uważnie w oczy, a po chwili zapytuje ją znienacka.)

Powiedz, co myślisz ty o Leonie?

Helena.

Ja — o nim?

Pani Mileska.

Tak, wiem, że my kobiety
Od szczerych wyznań zawsze się chronim...
Ale powiedz mi, co myślisz o nim?

Helena.

Że ma wysokie serca zalety
I że tę całą młodzież światową,
Która tu bywa, przewyższa głową.

Pani Mileska.

Więc ty go kochasz?

Helena.

Ja? zkądże?

Pani Mileska.

Przecię
Nie obcém tobie jest, moje dziecię,
Że on się stara podobać tobie,
Że cię uwielbia...

Helena.

Tak — jestem szczerą
I tajemnicy żadnéj nie robię,
Żem to spostrzegła nie dziś dopiero.

Pani Mileska.

No, to się trudność ułatwia cała;
Czemuż za niego wyjśćbyś nie miała?

Helena.

Matko!

Pani Mileska.

Co, dziecię?

Helena.

Mateczko droga!
Wiesz, że cię kocham, że każde słowo
Twoje jest dla mnie jakby od Boga
Rozkaz, że zawsze jestem gotową
Wszystko dla ciebie poświęcić; ale....

Pani Mileska.

Ale cóż?

Helena.

Za mąż nie chcę iść wcale.

Pani Mileska.

Czemuż?

Helena.

Bo... wierz mi, że ci najprościéj
Mówię: obrawszy raz już tę drogę,

Chciałabym szczęście w zamian miłości
Oddać, a szczęścia dać mu nie mogę.

Pani Mileska.

Zkąd ta myśl dziwna?

Helena.

Oto jedyny
Powód: mówić mi o tém boleśnie,
Ale kto z takiéj, jak ja, rodziny,
Ten już skazany na śmierć przedwcześnie.

Pani Mileska.

Moja ty złota... co mówisz?

Helena.

Matko!
Wszakże się o tém odzywam rzadko,
Bóg chciał, niech będzie po Jego woli;
Ale ja czuję...

(Wskazując na głowę:)

Tu... tu mnie boli.
Z wolna się we mnie wpija zdradziecko
Ta... straszna... znasz ją... ta... słabość.

Pani Mileska.

Dziecko
Moje!

Helena.

Choćbym mu była wzajemną,
Mamże, z nim łącząc na zawsze dłonie,
Chcieć, aby on się przykuwał ze mną
Na łzy, na smutek, na boleść.. O, nie!
Tego nie zrobię!...

Pani Mileska.

Heleno droga!
Zkąd ci się w sercu taka myśl chowa
Straszna? nad nami opieka Boga;
To przywidzenie, ty jesteś zdrowa;
To być nie może.

Helena.

A więc ci szczerze
Przyznam: kocham go, lecz strach mnie bierze,
Gdy do mnie mówi, gdy patrzy we mnie,
I całéj siły chcę użyć swojéj,
By uspokoić się... nadaremnie!...
Ojciec mi zawsze w pamięci stói
Z tym obłąkanym wzrokiem.... drżę cała...
I... Boże! Jażbym taką być miała!...

(Zakrywa twarz rękoma.)

Pani Mileska.

Córko!

Helena (ze wzrastającém wzruszeniem).

Pamiętasz te straszne krzyki,

Co przez noc całą nas przerażały?
Jak się na ciebie zamierzał, dziki,
Jakby rozedrzeć cię chciał w kawały,
Ciebie... dobrego swego anioła!...

Pani Mileska.

Niestety!

Helena (ze wzruszeniem coraz gwałtowniejszém).

Czasem... mgła wzrok przysłoni
I słyszę... słyszę, że on mnie woła,
I czuję uścisk téj zimnéj dłoni...
Wówczas... o wówczas dziwnym szelestem
Coś tętni w uszach, zaciska skronie
Obręcz żelazna, głowa mi płonie!...
Matko! o matko!... Może ja jestem
Już obłąkaną!...

Pani Mileska.

Heleno droga,
Słuchaj!

Helena.

Zostaw mnie samą, na Boga!
Wrócę za chwilę; niech serce chore
Raz bić przestanie, niech myśli zbiorę!...

(Wybiega drzwiami na prawo.)

SCENA VIII.

Pani Mileska (sama porywa się z miejsca i chce biedz za córką).

Heleno!

(Zatrzymuje się.)

Jakiż żar z pod jéj powiek
Wybiegał... on miał słuszność, ten człowiek...
Ale co czynić?...

(Zastanawia się przez chwilę i nagle pada na kolana przed obrazem Matki Bozkiéj, zawieszonym ponad klęcznikiem z lewéj strony.)

O Miłosierna,
Coś była zawsze czysta i wierna!
Zechciej mnie natchnąć, Matko Najświętsza!
Zejdź! zejdź do serca mojego wnętrza;
Bądź mi poradą, opieką, zbroją,
Bym mogła córkę ratować moją!...

(Pozostaje tak chwilę w postawie klęczącéj, drzwi z prawéj strony otwierają się i Helena wychodzi powoli na scenę.)

SCENA IX.

Pani Mileska, Helena.

Helena.

Tyś się modliła?

Pani Mileska.

Czyż nie mam o co?
Prosiłam Boga, aby pomocą
Świętą przyczynił, mój kwiatku miły,
Dla ciebie zdrowia, a dla mnie siły.

Helena.

Dłoń Jego była dość dla mnie hojną,
Mam ciebie.

Pani Mileska.

Widzę, żeś już spokojną,
I cieszy mnie to, że z tobą można
Pomówić.

Helena.

Matko!

Pani Mileska.

Będę ostrożna,
Lecz zwróć uwagę na to, co powiem
Tobie.

Helena.

Słucham cię, matko.

Pani Mileska.

Wiesz przecię,
Że jesteś dla mnie życiem i zdrowiem,

Boś mi została sama na świecie.
Dziś myśmy razem, ale mnie żywo
Przyszłość obchodzi, chcę cię szczęśliwą
Widzieć.

Helena.

Jestem nią.

Pani Mileska.

Tę przyszłość całą
Zatracić może kobieta płocha,
Mniéj ważąc tego, który ją kocha,
Którego serce jéj ukochało.
Takie uczucia zsyła na ludzi
Zrządzenie wyższe, sam Bóg je budzi
Gdy chce, ażeby byli szczęśliwi;
Źle czyni, kto je łamie lub krzywi.

Helena.

Ale, mateczko droga, jeżeli
W takiém uczuciu, może od Boga
Zesłaném, w którém szczęście widzieli,
Kryje się boleść, rozpacz i trwoga;
Jeżeli jakaś grobowa tama
Staje pośród nich... bo powiedz sama:
Gdyby mój ojciec....

Pani Mileska.

Więc znowu, znowu
Wracasz!...

Helena.

Chcę wierzyć twojemu słowu;
Tak, jesteś dobra, jesteś rozumna;
Ale w tém szczęściu rzekomém na dnie
Może się chować méj duszy trumna,
Lub to, co z matki na dzieci spadnie,
To... złe dziedziczne...

Pani Mileska (w uniesieniu).

Milcz!

Helena (z egzaltacyą, waha się).

Bo któż może
Z ludzi przewidzieć wyroki Boże?
One są wieczną dla nas zagadką.
Ojciec!...

Pani Mileska (z rezygnacyą).

On znowu! zagubię duszę
Kłamstwem, lecz dziecko ratować muszę!

(Podchodzi do Heleny i dotyka się z lekka jéj r amienia).

(Z rozpaczliwém wysileniem:)

On nie był ojcem twym!

Helena (porywając się gwałtownie z miejsca).

Kłamiesz matko!

Pani Mileska (zakrywając twarz rękoma).

Nie!... nie!... nie kłamię!... kłamać nie mogę!...

(Chwila milczenia, podczas któréj słychać tylko łkanie pani Mileskiéj. Po chwili Helena, zbliżając się powoli do matki, mówi:)

Helena.

Jakżeś ty mogła tak straszną trwogę
Zbudzić w swém dziecku, i taką raną
Krwawą ugodzić do duszy wnętrza!...
Ty... co mi jesteś tak ukochaną,
Z kobiet najczystsza, z matek najświętsza!....

(Stając nagle na miejscu:)

Nie!

Pani Mileska.

Słowa prawdy z ust moich idą.

Helena.

Tyżbyś się miała taką ohydą
Chcieć okryć, matko! ty, która cała
W miłości tylko żyjesz i wierze,
Którabyś swoim dała w ofierze
Szczeréj tysiąc żyć, gdybyś je miała.

Pani Mileska.

Nie kłamię!... Boże!

Helena (wskazując jéj na portret ojca).

Matko! z wysoka

Na ciebie patrzy on... jak głęboka
Boleść w nim... o spójrz! mówić się sili...
Patrz!... patrz! jak oczy krwawo mu biegą...
Może wyklina ciebie w téj chwili...

Pani Mileska (porywa ją za rękę i odtrąca od obrazu).

To nie twój ojciec! nie patrz na niego!

Helena.

Matko!

Pani Mileska.

Przed śmiercią, z zimném obliczem
Jabym stanęła, śmierć dla mnie niczém...
Jeślim zgrzeszyła, Bóg mi wybaczy,
Bóg dobry... ale gdy mi się roją
Straszne obrazy, że ty!... o! raczéj
Stracę szacunek i miłość twoją,
Ale żyj...

Helena.

Matko!

Pani Mileska.

Przeznaczeń siła,
Kropla po kropli, żółć mi sączyła.
I z całéj, z całéj mojéj rodziny
Tyś mi została... ty... skarb jedyny!
Dziś tę ostatnią na niebie jasném
Gwiazdę los chce mi wydrzeć zbójecko...

Zbawić cię życiem nie mogę własném,
Niech więc wstyd matki ocali dziecko.

(Chwila milczenia. Helena zbliża się powoli do pani Mileskiéj i upada przed nią na kolana.)

Helena.

Matko! Bóg próby na ludzi zsyła!
On tylko rządzi naszém sumieniem;
Jesteś miłością i poświęceniem,
Kochać cię muszę, bobym nie żyła.
Jakiéjż miłości, jakiéj czci żniwo
Złożę u stóp twych? jakiego czynu
Chcesz, by ci dowieść?.....

SCENA X.

Pani Mileska, Helena, Leon.

(Podczas ostatnich słów Heleny, Leon ukazuje się we drzwiach w głębi.)

Pani Mileska (podnosząc Helenę i biorąc ją w objęcia, ukazuje jéj Leona).

Żyj, bądź szczęśliwą,
To dla mnie wszystko!

(Do Leona:)

Zbliż się, mój synu.

(Zasłona spada.)

SIŁA ZŁEGO NA JEDNEGO.

DYALOG

z czasów pierwszéj wojny chocimskiéj.

OSOBY:

WOJSKI.
PAN ROCH.
SĘDZINA.
PODSTOLINA.
Panna URSZULA WISZNIAKÓWNA.
ŁOWCZYNI.
CZEŚNIKÓWNA.
FRANEK.
IWAN SOROK.
Służebna.

Rzecz dzieje się na wsi w okolicach Kowla r. 1621.

(Staroświecka komnata. Sprzęty domowe. Ławy przy ścianach. Nad ławami trofea myśliwskie i uzbrojenia. Drzwi w głębi. Drzwi z prawéj strony. Z lewéj strony okno. Z prawéj strony na przodzie sceny wielki stół dębowy, na nim dzban z piwem i kufel. Kilka stołów.)

SCENA I.

Pan Roch (sam).

(Siedzi przed stołem, popijając z kufla.)

I toż ów trunek niby wyśmienity,
Piwo piotrkowskie... tfy... lura prawdziwa!
I ma tu ład być w Rzeczypospolitéj,
Kiedy już warzyć nie umieją piwa;
I to gdzie jeszcze?... gdzie?... w samym Piotrkowie:
A na antałku pieczęć z approbatą.

(Po pauzie:)

Dziś wszystko jakoś nie po mojéj głowie.

(Wstaje i przechadza się.)

Toż Turek piwa nawarzył nam za to.
Dyabli nadali.

(Tupa nogą.)

A człek dmucha w kaszę
I siedzi doma.

SCENA II.

Pan Roch, Wojski.

Wojski (wchodząc).

Coś zły strasznie wasze.

Pan Roch.

Jak się nie złościć? a to już chybaby
Na prawdę w sercu nie trzeba mieć Boga!
Wszystko co żyje z powiatu na wroga
Poszło, my ino ostalim i baby,
I siedzim sobie za piecem szczęśliwię,
A waść się dziwisz, że się złoszczę.

Wojski.

Dziwię.

Pan Roch.

Ot co!

Wojski.

Urzędu waga przed obliczem
Ustaw krajowych, toż u waścia niczém?
Ten polor, którym blask ojczyzny złocim,
Ta praw powaga, którą kraj się szczyci...

Pan Roch (porywczo).

Ja wiem, że kiedy król rozesłał wici,
By szlachta z wojskiem ruszyła pod Chocim,

Wstyd siedzieć doma, a my siedzim doma.
Ot sprawa cała.

Wojski.

Niech się waść nie sroma.
Nam polecono tutaj trzymać straże,
Quoniam wojskiemu obowiązek każe
Baczyć na powiat od obcéj napaści,
Strzedz dzieci, niewiast i słabéj gawiedzi.
A waść zostałeś, bo waść przy mnie siedzi,
I co tam znowu po wojaczce waści?
Wszakże obadwaj nie bardzośmy młodzi;
Bóg daj zdrów, siódmy już krzyżyk zachodzi,
Nie w jednéj wojnie zdrowie się sterało,
A waści, widzę, wszystko jeszcze mało.

Pan Roch.

Piękny mi urząd!

Wojski.

I... co tam waść plecie!
Toć prawie pierwsza powaga w powiecie.
W pokoju nawet wojski zwykłym szykiem,
Wszelkim zaszczytem uposażon hojnie,
Idzie przed łowczym, pisarzem, skarbnikiem,
A namiestnictwo powiatu ma w wojnie,
Czyni porządek, sprawuje żołnierza,
Godzi niesnaski i prawo wymierza.
Toż mało jeszcze?

Pan Roch.

Dyablo, dyablo wiele!
Dla wojennego piękny zaszczyt człeka,
Robić ład w babach, prząść z niemi kądziele
I opatrywać przybór gospodarczy.
Gdybyć to chociaż chory lub kaleka...
Ale do korda ręka jeszcze starczy,
Jeszcze Turczyna rozsiekłbym na dwoje!...

Wojski.

I... co tu gadać! człek swoje, czort swoje.
Jużcić waść temu pewno nie zaprzeczy,
Że to odwieczna taka kolej rzeczy.
Jednym jest dano walczyć wstępnym bojem,
Drudzy w domowéj użyci potrzebie;
Niechaj się każdy ogląda na siebie,
By wedle prawa w kółku czynił swojém.
A wy to może zmienić chcielibyście?

Pan Roch.

Bo panie wojski...

Wojski.

Nasza służba iście
Również wojenna, wszakże my z żołnierzem
Nam naznaczonym powiat cały strzeżem.
Kto może wiedzieć co los nam nadarzy?
Waść do wojaczki przylgnął sercem czułém...
Nie dajże Boże, ażeby Tatarzy

Z nienacka na nas napadli czambułem,
Jak to w tych wojnach nieraz się zdarzało...
Byłoby wonczas roboty niemało.

Pan Roch.

A niechajby też...

Wojski (wyglądając pızez okno).

Ot nowość... przed ganek
Coś zajechało... widać goście...
(Woła przez okno:)
Franek!
Sam tutaj do mnie!

SCENA III.

Ciż, Franek.

Franek (stojąc we drzwiach z głupowatym uśmiechem).

Jegomość!...

Wojski.

A co to?

Franek (śmiejąc się).

Hu... hu... hu...

Wojski.

Czego śmiejesz się niecnoto?

Franek (śmiejąc się).

To jakaś jejmość... z wielkim nosem kaczym...
A zaperzona na licho...

Wojski.

Obaczym.

(Chce wyjść i we drzwiach spotyka się z Sędziną, która z powagą wychodzi na przód sceny i siada na krześle. Pan Roch i Franek oddalają się.)

SCENA IV.

Wojski, Sędzina.

Sędzina.

Widać się waszmość nie spodziewał gościa
Ze mnie.

Wojski (kłaniając się).

A proszę... to zaszczytu wiele
Na moją chatę. Do nóżek się ścielę
Pani sędziny...

Sędzina (oddychając mocno).

Jakaż do waszmościa
Droga!... toż po niéj chyba zaniemogę.
Przed wsią na grobli koło się złamało
W kolasie; szczęście, że wychodzę cało...

Wojski.

Nie czas nam teraz opatrywać drogę,

Będzie to kiedyś. Dziś ważniejsze rzeczy
Zostały mojéj poruczone pieczy.

Sędzina.

A wiem, że waszmość masz nad nami straże
Teraz szczególną, i w téj właśnie sprawie
Dzisiaj się oto przed waszmością stawię.

Wojski (siadając).

Co dobrodziejka sędzina rozkaże?

Sędzina.

Rzecz to zapewne waszmości wiadoma,
Że mnie niebodze po śmierci mężowskiéj
Trzy pozostały w dożywociu wioski
I syn jedynak.

Wojski.

A wiem, wszak mu miano
Jacenty?

Sędzina.

Tak jest, iście Jacuś. Ano
Trudno go było wychowywać doma,
Bo to snadź ze krwi ojca zwykłym torem
Chłopak się kręcił ciągle jak na igle,
I miast się uczyć z panem preceptorem,
W głowie mu były same jeno figle.
Nieraz mnie dopiekł, własnéj rodzicielce.

Wojski (śmiejąc się).
Bo i pan sędzia był człek trefny wielce.

Sędzina (z westchnieniem).
O, mój nieboszczyk, niech go święci strzegą!
Toć ja go duszą żałowałam całą,
Choć czasem licho za skórą siedziało,
Było w nim więcéj dobrego niż złego,
I bogdaj Jacuś wstąpił w jego ślady.
Owoż nie mogąc z nim sobie dać rady,
A wiedząc jaką renomą się szczyci
Szkoła w Lublinie, którą czujném okiem
Tam dozorują Ojce Jezuici,
Sama im Jacka odwiozłam przed rokiem.

Wojski.
Ano, to zawsze lepiéj niż gdzieindziéj.

Sędzina.
Niebardzo lepiéj, bo skoro o wojnie
Wieść pierwsza gruchła, to widzi asindziéj,
Chłopak już nie mógł usiedzieć spokojnie,
Rwał się do konia, do zbroi, do szabli.

Wojski (zacierając ręce).
Snadź kiedyś z niego wojak będzie dyabli!

Sędzina.
Aż raz i zemknął z klasztoru po cichu,
Jak kamień w wodę, ni słychu, ni dychu.

Wojski (kręcąc głową).

No... no...

Sędzina.

Gdy Ojce mnie zawiadomili
O tém, uczułam bardzo wielką trwogę
I tu przybiegłam, nie tracąc ni chwili.

Wojski.

A cóż ja na to jejmości pomogę?

Sędzina.

Waszmość rozesłać za nim możesz wszędzie.

Wojski.

A któż po polu wiatru szukać będzie?

Sędzina.

Jak to?

Wojski.

A pewno... bądź jejmość spokojna,
Jeżeli zemknął to za Dniestr.

Sędzina (z przestrachem).

Tam wojna!

Wojski.

A jużci nie co, snadź już tak sądzono,

Żeby się chłopak przeharcował zbrojnie;
A to już jemu szesnaście lat pono...

Sędzina (załamując ręce).

Boże mój drogi! mój Jacuś na wojnie!

Wojski.

No cóż? szlacheckie w nim serce, nie drewno.

Sędzina.

Ale tam Turcy zabiją go pewno!

Wojski.

Co mają zabić? da on radę sobie...
(Sędzina zaczyna płakać.)
I po cóż zaraz taka rozpacz sroga?
(Chce ją uspokoić.)
Ot... maszże tobie!

Sędzina.

A na miłość Boga!
Ratuj go waszmość!

Wojski.

Ale cóż ja zrobię?

Sędzina.

Niech zaraz gońce w te tropy pobiegą.

Wojski.

Gdzie?

Sędzina (powstając).

Do hetmana, do króla samego!
Waszmość sam biegnij...

Wojski (powstając).

Ja? Co waśćka plecie?

Sędzina.

Toż jest waszmości obowiązek przecie.

Wojski.

Czyste androny.

Sędzina.

Nie trać waść ni chwili.

Wojski.

Mój obowiązek stać tutaj przedmurzem
Od wrogów.

Sędzina.

Chcesz waść, by go tam zabili
Turczyni!

Wojski.

Ja chcę?...

Sędzina.

Waszmość jesteś tchórzem!

Wojski.

Co! co! co!

Sędzina.

Cnoty przedemną nie udasz:
Syna mi na śmierć wydałeś jak Judasz.

Wojski.

Kto? ja?

Sędzina.

Mój Jacek! tak ginąć za młodu!

Wojski.

Zkądże?...

Sędzina.

Waszmości zaskarżę do grodu.

Wojski.

Ot co!

Sędzina.

Zaskarżę waszmości na sejmie,
A sejm waszmości szlachectwo odejmie,
Infamię zada i skarze na garło.

Wojski.

Tfy! jakieś licho znów jejmość przyparło.

Sędzina (wychodząc z największą furyą).

Zobaczysz waszmość, że niewiasta słaba
Zemścić się umie!

(Wychodzi.)

SCENA V.

Wojski (sam, patrząc za odchodzącą).

Oszalała baba!
Prawi błazeństwa... ani to ni owo...
Gonić synala... także mi robota!

(Zagląda w okno.)

No... siada w powóz... wyjeżdża za wrota.
Szczęśliwéj drogi!... jedź waćpani zdrowo!
Oj! babski język jak raz taniec pocznie,
To nie sfolguje, wciąż hasa i hasa.
Ano czart babę opętał widocznie!...
Ot! daj go katu!... znów druga kolasa.

SCENA VI.

Wojski, Franek.

Franek (ukazując się we drzwiach).

Jegomość!...

Wojski.

Co tam?

Franek.

Jeszcze nowi goście.

Wojski.

Szkuta ich, czy co!

Franek.

Jakieś dwie jejmoście,
Z tych jedna strasznie rozlamentowana.
Owoż i one.

(Usuwa się od drzwi, żeby zrobić miejsce paniom, a gdy te weszły, wychodzi.)

SCENA VII.

Wojski, Podstolina, Panna Urszula Wiszniakówna.

Podstolina (wchodząc pierwsza).

Witam waszmość pana.

Panna Urszula (dyga w milczeniu).

Wojski (prowadząc panie do krzeseł).

Służby powolne i do nóg upadam
Mym dobrodziejkom...

Podstolina

(mówi prędko i krzykliwie, podczas kiedy panna Urszula siedzi ponuro na krześle i od czasu do czasu ociera łzę).

Wszakże się nie mylę:
Waszmość pan jesteś Deręgowski Adam,
Wojski kowelski.

Wojski (kłaniając się).

Ja sam.

Podstolina.

Bo już tyle
Latek jam waszmość pana nie widziała...
Czterdzieści z górą... Tu u chorążyny
Rzeczyckiéj, pomnisz waszmość, imieniny
Były jéj właśnie, a gala wspaniała.
Do stołu grała kapela niemiecka,
Prawdziwy Turczyn napoje podawał,
Waszmość wąs miałeś podstrzyżony z szwedzka
I mnie w mazurze szaty zdarłeś kawał.

Wojski (pokręcając wąsa).

Inne to czasy, i człek był ochoczy,
I krew gorętsza.

Podstolina.

A jaka to młodzież!
Bywało... rzekniesz: „Skocz w ogień!...” to skoczy...
Dziś inak całkiem, wszystko wierzy w odzież,
Niby to szlachta, wielką fumę wiedzie,
A odpuść Panie, jak moczone śledzie
Wszystko wygląda... nie ma spojrzeć na co...

Wojski (kiwając głową).

Dawniéj w rycerstwie i ziemskim urzędzie
Człek się dorabiał zasługą i pracą...

Podstolina (przerywają mu).

A teraz pełno paniczyków wszędzie,
Co to układnie, miodowemi słowy
Umieją zwodzić biedne białogłowy,
A kiedy w któréj serce się rozczuli...
(Panna Urszula poczyna szlochać.)
Ot!... blizki przykład mam z panny Urszuli.

Wojski (z ciekawością).

No?... cóż takiego?...

Podstolina.

Ot co... w jedném słowie
Kompromitacya ogromna przed światem.
Właśnie przyjeżdżam do waszmości za tém.
(Do panny Urszuli:)
Wasindźka sama najlepiéj opowie.

Panna Urszula (szlochając).

Ach! ach!

Podstolina (do panny Urszuli).

Przed wojskim przecięż się odważysz
Mówić wacpanna; on tę rzecz rozumnie
Załatwi... urząd od tego...

Panna Urszula (szlochając).

On u mnie
Bywał.

Wojski.

Któż taki?

Panna Urszula (j. w.).

Hussarski towarzysz,
Pan Dowmund.

Wojski.

I cóż?

Panna Urszula (z coraz większym płaczem).

I... jam go... kochała...
(Zakrywa twarz chustką.)

Podstolina.

Widzę, że aśćka żalu nie utuli;
Ja powiem. Oto historya cała:
Pan Dowmund bywał u panny Urszuli,
Co u mnie bawi od dziecka, bo krewną
Mi jest; a zaczął bywać... będzie pewno
Lat już dwadzieścia.

Wojski (kiwając głową).

No, to w sam raz!

Podstolina.

Iście,
Mieli czas dobrze poznać się na sobie.
Widząc, że młokos kocha się ogniście,
I ja bywało przeszkody nie robię.

Mówiłam sobie w prostocie niewieściéj:
Toć z ładem rzeczy odwiecznym się godzi;
Niech się kochają, wszak oboje młodzi,
Zawsze się skończy po wierze i cześci.

Panna Urszula (szlochając).

Biednaż ja!

Wojski.

Czyliż uczynił wyznania?

Podstolina.

No... trzeba było poznać się wzajemnie.
Lecz przecięż widział taką ufność we mnie,
I że jéj serce ku niemu się skłania
Zacnych affektów niewstrzymaną strugą...
Już oświadczyny miały być niedługo,
Gdy...

Panna Urszula (j. w.).

Mój ty Boże!

Wojski.

No i cóż się stało?

Podstolina.

Głoszono wojnę, lecz byłam spokojną;
Mówiłam: „W wojnie okryje się chwałą,
Ale się pewnie oświadczy przed wojną."

(Do panny Urszuli:)
Wszak i wasindźka ufałaś, że kocha,
Co?

Panna Urszula (j. w.).

Doloż moja!

Podstolina.

Pewnego wieczora
Panna Urszula była jakoś chora.
Pan Dowmund przyszedł, ale nieswój trocha,
Widocznie coś mu ciężyło na sercu.
No... rzekłam sobie, myśli o kobiercu,
Już ani chybi wyjdą zapowiedzi.

Wojski.

Więc się oświadczył?

Podstolina.

A byliśmy sami;
Ale cóż?... panicz w kącie sobie siedzi,
Ani weź nawet pogawędzić z nami.
Widać go humor jakiś trapi wilczy,
Milczy, przebąknie słówko, i znów milczy.
Wreszcie rzekł: „Jutro wyjeżdżam zaraniem."
„Dokąd?"— „Pod Chocim, tam w dziesięć tysięcy
Pan hetman idzie, a my dążym za nim."
Rzekł, wstał i poszedł.

Panna Urszula (wybuchając serdecznym płaczem).

I nie wrócił więcéj!

Podstolina.

Snadź tam zapomni o biednéj Urszuli.

Panna Urszula.

Albo téż zginie od tureckiéj kuli!

Podstolina.

Taką to nam się odwdzięczył zapłatą.
Teraz radź waszmość.

Wojski.

Cóż ja wskóram na to?

Podstolina.

Żeby od niego choć zasięgnąć wieści,
Bo to utratą nawet grozi cześci;
Już na języki zewsząd wzięli biedną.
Pisz waszmość.

Wojski.

A gdzie?

Podstolina.

Do pana hetmana.

Wojski.

Ot co!

Podstolina.

Że zdrada taka niesłychana.

Wojski.

Ba!

Podstolina.

Tylko zaraz!

Wojski.

Waćpani wiesz jedno,
A ja wiem drugie. Co waćpani w głowie?
Czy na to pismo pan hetman odpowie?

Podstolina.

Jak to?

Wojski.

On teraz ważniejsze ma rzeczy
Na karku. Gdy się kurtę Turkom utnie,
To wówczas...

Podstolina.

Ależ on zdradził okrutnie!

Panna Urszula (płacząc).

Okrutnie zdradził!

Wojski.

I któż temu przeczy?

Lecz w wojnie folgę daje się prywacie,
Ani się sprawą zaprząta niczyją.

Panna Urszula (zanosząc się od łez).

Więc ja mam czekać aż Turków pobiją?

Podstolina.

Wy wszyscy tylko za sobą trzymacie.

Wojski.

Lecz...

Podstolina.

Bo gdybyś miał waszmość w sercu Boga,
Użaliłbyś się nad skrzywdzoną cnotą
I sambyś biedną wziął za żonę oto.

Wojski.

Ja!?

Podstolina.

Tak, to nawet jedyna jest droga.

Wojski.

Ja mam się żenić?

Podstolina.

Waszmość bądź egidą
Jéj...

SCENA VIII.

Ciż sami, pan Roch.

Pan Roch (wpadając szybko na scenę).

Panie wojski!

Wojski.

Co?

Pan Roch.

Tatarzy idą!

Wojski.

Jak to?

Pan Roch.

Podobno są już pod Ostrogiem.

Podstolina (powstając).

Gwałt?

Panna Urszula.

Co tu począć?

Wojski.

Jechać sobie z Bogiem.

Podstolina.

Co? jak to? same?

Pan Roch.

Ot... kłopot niemały.

Wojski (do pana Rocha).

A daj im konwój, byle pojechały.

Pan Roch (kiwając ręką).

Zaraz, już sam się zajmę tą posługą.

Wojski (odprowadzając obie panie do drzwi).

Żegnam.

(Do pana Rocha:)

A wróć waść.

Pan Roch.

Powrócę niedługo.

SCENA IX.

Wojski sam, później **pan Roch.**

Wojski.

Iście rzec można, że babska nawała
Spadła dziś na mnie... Ależ ci Tatarzy....
Czy tylko prawda?

Pan Roch (wchodząc).

No, już pojechała
Jedna i druga.

Wojski.

A kogoż do straży
Przydał im wasze?

Pan Roch.

A toż wyprawiłem
Czterech Kozaków z sotnikiem Daniłem.

(Śmiejąc się:)

Będą strzedz pilnie téj cnoty niewieściéj.
Jeszczeć Tatarów przecięż w okolicy
Tak bardzo nie ma.

Wojski.

A zkądże te wieści?

Pan Roch.

Z Dołżyc przybyli tutaj osadnicy
Z żonami, z wielkim rumorem i krzykiem,
Że już tatarskie niedalekie hufce,
Że nawet cerkiew spalili w Wiszniówce
I ciągną daléj.

Wojski.

Trzeba za językiem
Pchnąć kogo.

(Otwiera okno i woła:)

Franek!... a prędzéj, łazęgo!

(Franek ukazuje się w oknie.)

Wojski (do Franka).

Niech Iwan Sorok z Ostapem Łaguną...
(Odwracając się do pana Rocha:)
No... Iwan Sorok... wszak to chłopak żwawy...
(Do Franka:)
Wraz siądą na koń, i niech duchem suną
Za wieścią, niechaj zwijają się tęgo.
Mogą aż dotrzeć nad Styr do przeprawy,
Czy o Tatarach tam nie zasłyszano.

Franek (znika z okna).

Wojski (odwracając się do pana Rocha).

Tak będzie dobrze... he?

Franek (ukazując się znów w oknie).

Jegomość!

Wojski.

Ano
Czegoż ty wracasz?

Franek.

Znowu coś się wlecze.
(Kładąc dłoń przed oczy:)
Aż dwie kolasy i bryka ładowna.

Wojski (podskakując na miejscu).

Czyś rozum stracił? co ty prawisz człecze?

(Spogląda przez okno.)

Dalibóg prawda... panna Cześnikówna...
Pani Łowczyna... i dzieci kilkoro.
Zkąd dziś u licha te baby się biorą?
Tfy! czy kto urzekł?

(Do Franka:)

Ty śpiesz za rozkazem.

(Franek znika z okna.)

(Pan Roch chce wychodzić, Wojski zatrzymuje go.)

Wojski.

Pozostań wasze, będzie raźniéj razem.

SCENA X.

Ciż sami, pani Łowczyna i panna Cześnikówna.

(Szybko wpadają na scenę, za niemi dwie służebne niosą paczki i pudła, które rozkładają na krzesłach, na podłodze i wychodzą.)

Pani Łowczyna.

Ratuj sąsiedzie!

Panna Cześnikówna.

Ratuj waszmość panie!

Pani Łowczyna.

Matkę dla córek!

Panna Cześnikówna.

A dla matki córki!

Pani Łowczyna.

W tobie nadzieja!

Pan Roch (zatykając sobie uszy).

A... Boże skaranie!

Wojski.

Cóż to się stało?

Pani Łowczyna.

Co? Tatarzy!

Panna Cześnikówna.

Turki!

Wojski.

Jak? gdzie?

Łowczyna.

Tu blizko!

Cześnikówna.

O milę!

Łowczyna.

Pół mili!

Cześnikówna.

Jest ich jak mrowia!

Łowczyna.

A walą się hurmem!

Cześnikówna.

Sześć wsi wyrznęli!

Łowczyna.

Trzy cerkwi spalili!

Cześnikówna.

I zamek w Łucku wzięli przedsię szturmem!

Łowczyna.

I wraz się w koło rozbiegli na zabór!

Cześnikówna.

I cały pędzą niewolników tabór!

Łowczyna.

Mordują! palą!

Wojski.

E... co waśćkom w głowie!
Toć może mara... Ordynans wysłałem,
Niebawem wróci, to prawdę opowie.
To wszystko zgoła skończy się na małém,
Albo na niczém.

Łowczyna.

Ale, co waść prawi!

Cześnikówna.

Wszak ich widzieli, i na własne oczy.

Wojski.

Kto?

Łowczyna.

Ludzie.

Wojski.

Ależ ...

Cześnikówna.

Lud zewsząd się tłoczy

Po drogach.

Wojski.

E... znów...

Łowczyna.

Aż serce się krwawi,

Taki tam lament!

Wojski.

Bo...

Cześnikówna.

Aż pęka głowa!

Wojski.

Ależ pozwólcie waśćki przyjść do słowa!
Tak trudno!

Pan Roch.

Oj, te języki niewieście!

Łowczyna.

Słuchamy.

Wojski.

Choćby tak było nareszcie,
To po co gorzeć jak od ognia słoma?
Toż nas od razu Turczyn nie zabierze.
Nie lepiéj było siedzieć sobie doma
Jak Bóg przykazał i klepać pacierze,
Niż tu przybywać z krzykiem i szlochami
I tak nad głową lamentować srogo?
My sobie tutaj poradzimy sami,
A waśćki na to zgoła nie pomogą.

Łowczyna.

Zmiłuj się waszmość, jakto?

Cześnikówna.

A! na świętą
Agnieszkę! waszmość radzisz, widzę, pięknie!

Łowczyna.

Nam siedzieć doma, by nas napadnięto...

Cześnikówna.

I zrabowano!

Pan Roch.

Iście głowa pęknie.

Łowczyna.

Przecięż wiadomo, że z tatarską zgrają
Wcale nie żarty.

Cześnikówna.

To dziwy cudacze
Co oni robią!

Łowczyna.

Dzieci zarzynają....

Cześnikówna.

I jedzą potém!

Służebna (wpadając).

Jéjmość! Maciuś płacze.

Cześnikówna.

Ot! widzisz waszmość!

Łowczyna.

Nieszczęsna godzina!

Cześnikówna.

Cóżto, waszmości żalem nie przenika?

Łowczyna (płacząc).

To dziecko nawet przeczuwa Turczyna...

(Do służebnéj:)

Idź go uspokój...

(Wyjmuje z kaletki kawałek piernika i daje jéj.)

I daj mu piernika.

(Służebna wychodzi.)

Łowczyna (do Wojskiego).

A waszmość oto daj nam dwie komnaty,
Byśmy się mogły roztasować sobie.

Cześnikówna.

Tutaj bezpieczniéj.

Pan Roch.

Otóż masz zakaty!

Łowczyna.

Będziem tu siedzieć.

Wojski (do pana Rocha).

Co ja z niemi zrobię?

(Do kobiet:)

Tu miejsca nie ma.

Łowczyna.

Nie... pod waści bokiem
Musimy siedzieć.

Cześnikówna.

Nie ruszymy krokiem.
Waszmość nas pilnuj!

Łowczyna (uchyla drzwi i woła).

Każcie znosić rzeczy!

Wojski.

Niech sobie waśćki inną znajdą radę,
Ta bowiem wcale ich nie zabezpieczy,
Bo ja sam oto na Tatarów jadę,

(pokazując pana Rocha:)

Z mym towarzyszem.

Łowczyna (ze zdziwieniem).

Co?

Wojski.

Czekamy ino
Na język; skoro potwierdzą się wieści,
To wraz się z całą wybieram drużyną.

Cześnikówna.

Waszmość chcesz jechać?

Łowczyna.

O, człeku bez cześci!

Chcesz jechać!?

Cześnikówna.

Boże!

Pan Roch (n. s.).

Oto baby głupie!

Łowczyna (z płaczem).

I bisurmaństwu nas zostawić w łupie!

Cześnikówna (z płaczem).

By nas do Krymu wzięli do niewoli!

Łowczyna (padając na krzesło).

Ach! ćmi się w oczach!

Cześnikówna (padając na krzesło).

Ach! serce mnie boli!

Łowczyna.

Mdło mi!

Cześnikówna.

Umieram!

Pan Roch (biorąc się za głowę).

Gwałtu!

Łowczyna (na wpół omdlona).

Octu!

Cześnikówna (na wpół omdlona).

Wody!

Pan Roch (biegając po izbie i nie wiedząc co począć).

Oto dopiero sprawiły nam gody!

Wojski.

A niech się ziemia pode mną zawali!

Pan Roch.

W pięknyśmy kłopot obaj zajechali.

Wojski.

I cóż tu robić z tém ich nieszczęśliwém
Omdleniem?

Pan Roch (spostrzegając dzbanek z piwem na stole).

Prawda, ratujmy je piwem!

(Jeden bierze dzbanek, drugi kufel i usiłują trzeźwić kobiety.)

SCENA XI.

Ciż sami, Iwan Sorok.

Iwan Sorok (uchylając drzwi).

Panoczku!

Wojski.

To ty?

(Do pana Rocha, oddając mu kufel:)

Spraw się tu z obiema.

(Podchodzi do Iwana Soroka, który stoi we drzwiach wyprostowany.)

No, cóż Tatarzy?

Iwan Sorok (machając ręką).

E... Tatarów nie ma.

Wojski.

Nie ma?... więc to był popłoch tylko płonny?

Iwan Sorok.

To dwie chorągwie dragonii konnéj
Ciągnęły z Zwiahla z regimentem pieszym
Przez Łuck. Rzekł któryś: „Na Tatarów śpieszym."
Wraz się rozniosło po mieście, i oto
Wszczął się wnet rumor pomiędzy hołotą,

Że już tatarska horda niedaleka.
A oni gdzieś tam na dnieprowym progu.

(Uderzając ręką po szabli:)

At! próżna tylko oskoma dla człeka.

Wojski.

Dobrze, idź sobie chłopcze.

Iwan Sorok (sięgając mu czapką do kolan).

Sława Bogu!

(Wychodzi.)

SCENA XII i ostatnia.

Ciż sami (oprócz Iwana).

Wojski.

Dyabli nadali z tą wieścią kłamaną!

Pan Roch (krzycząc do ucha Łowczyny).

Tatarów niema, niech jéjmoście wstaną!

Łowczyna (powstając).

Co? jakto? niema?

Wojski.

A niema

Cześnikówna (powstając).

Azali

To tylko prawda?

Łowczyna.

Może to jest zdradą?

Wojski.

Gdzież tam? ci ludzie jéjmości kłamali.
Niechaj wasindźki do dom sobie jadą.

Łowczyna (odwracając się do Cześnikówny).

Woléj tu zostać? bo nuż to udaniem
Tylko.

Cześnikówna.

Masz prawdę, woléj tu zostaniem.

Wojski (porywając się w największym gniewie).

A!... to za wiele! nie wytrzymam dłużéj!
Mój dom się udał, niechaj waśćkom służy,
Ale ja zaraz ztąd odjeżdżam sobie.

Łowczyna.

Co?

Wojski.

Do hetmana wraz podanie zrobię,
Żeby urządził zastępstwo w powiecie.
Niech was kto inny tutaj ma na pieczy,
Bo mnie do reszty przewrócić możecie
We łbie.

(Odwraca się do pana Rocha:)

Na Turki!

Pan Roch.

Ot prawi do rzeczy.

Wojski.

Tak jest, na Turki! Pięknie to w urzędzie,
Lecz na ten ciężar ja mam kark za słaby.
Może na polu łacniéj jakoś będzie...
Woléj bić Turki niż utulać baby!
Widzę, że słuszną racyę miałeś wasze
Dla wojennego człeka respekt w szabli...

Pan Roch (zacierając ręce).

Ot panie, Turków stłuczemy na kaszę!

(oglądając się na kobiety, które padły na stołki, rozpaczliwie załamując ręce.)

No... a cóż one?

Wojski.

One?

(staje na chwilę przyglądając się Łowczyni i Cześnikównie a po chwili machnąwszy ręką odwraca się.)

Pal je dyabli.

(Wychodzi w wielkim ferworze, a za nim pan Roch.)

(Zasłona spada.)

Koniec tomu trzeciego.

TREŚĆ TOMU III-go.